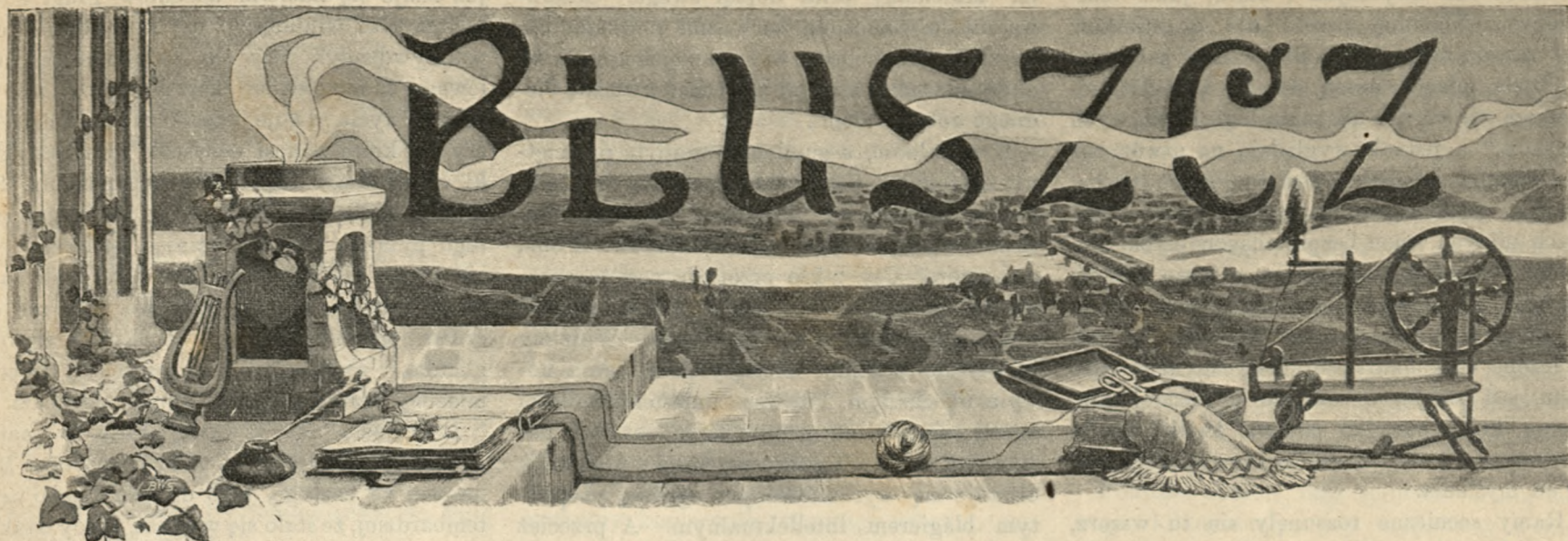




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 2); półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

POLKI

we współczesnej literaturze, nauce i sztuce.



ZOFIA MELLEROWA.

(Sylwetka literacka).

„Nie jest to nowiną żadną,” że świat jest
zapełniony po brzegi oceanem miernot. Zna-
my dobrze „Naszych najserdeczniejszych.” Po-
tulna żona, wesół a zazdrosny mąż, naiwnie
romansowy kuzynek, zadąsani narzeczeni, wie-
cznie skłopotany hreczkosiej, niedowarzony
poeta o płytkej główce, wiele krokodylich
łez i... stara gderliwa kucharka.

Pocziwcy! Ród plenny i dokuczliwy, jak
muchy. Weiska się to wszędzie, brzęczy nad
uchem, klóci się i gryzie od rana do nocy,—
ale przedewszystkiem—boi się. Poprostu pa-
nicznie boi się dwóch rzeczy: złodzieja kie-
szonkowego i śmieszności.

A ta ostatnia spotyka ich tak często i słu-
sznie. Trudno jest karcieć to, co ani kodek-
sowo, ani moralnie nie jest złem. Zbrodnia-
rza stawia się pod pręgierz publicznej grozy
i nienawiści, który czasem zamienia się w au-
reolę męczeństwa i nimbus podziwu; mierno-
tę bierze się na sztych, wystrycha się na
dudka, bo miernota jest chodzącą karykaturą
cnoty i występku. Niema łatwiejszej rzeczy,
jak z „takiego pana” zrobić maryonetkę do
„dIALOGU mięsopustnego.” Stąd pewno wy-
pływa fakt, że teatr upodobał sobie miernotę
aż do zbytku, do przesyty, szczególnie w epo-
ce, gdy dusze dzielono ryczałtowo na dobre
i złe, na niziołki i uroczyście, a scenę rozłamy-
wano na komedię śmiechu i komedię bo-
leści.

Przy takim stanie rzeczy trzeba było być
bardzo pewnym swego oka i dłoni, aby nie

popaść w karykaturę i przesadę. Wypuszcze-
nie grotu o jedną linię wyżej lub niżej mo-
gło zepsuć wszystko. Mellerowa ominęła szczę-
śliwie matnię niebezpiecznej szarży. Ocaliła
ją zapewne od tego z jednej strony przyro-
dzona dobroć serca, która nawet w wy-
śmianym kazała jej widzieć przyjaciela i bra-



Zofia Mellerowa.

ta; z drugiej — niewypowiedzianie szczęśliwy
instynkt autorski, który zatrzymał ją w świe-
cie najbardziej licującym z jej umysłowością
i rodzajem talentu, i nie pozwolił przejść za-
kreślonych granic.

Całe bibułkowe królestwo odświętnych cnót,
litościwego kłamstwa, płaskich pożądań i po-
pielatych nienawiści wzięła ona pod troskli-
wą opiekę swego perlistego śmiechu. Dziwny
to śmiech, nie dzisiejszy śmiech, co nie ma
w sobie ani kropli żółci i krwi...

Chyba jeszcze w kolebce zesłała na tę ko-

bietę świadomość, że ludzie są ulepiani z gli-
ny, i że wobec tego niema się tak dalece o co
rozbijać. Rychło i bez trudu doprowadziła
duszę swoją do upragnionego ładu i harmo-
nii, do cichej syntezy domowego ogniska.
Rozczarowanie, ból życia, paląca zagadka
własnego „ja,” nieugaszona tęsknota za tem,
co jest „nad utwierdzeniem,” — te wszystkie
pojęcia są jej najzupełniej obce. Żaden z tych
nieproszonych gości nie zakłócił jej cichego
snu i duszy, wypełnionej po brzegi miękkie-
mi falami kobiecego sentymentu.

Ona jest pewna siebie i swojej broni. Nie
zawaha się nigdy w rozstrzygnięciu pytania
etycznego, które leży zazwyczaj w zawiązku
każdej dobrej komedii. „Dwojaki gwicht
i dwojaka miara obrzydliwości jest Panu;”—
zdanie to umieszczone na czele jednego z jej
utworów scenicznych mówi za całą jej dzia-
łalność. Czysto kobiece łaknienie porządku,
jednostajności, rzucanie wniosków i dogma-
tów z góry, lekceważenie przesłanek, — dar
sposstrzegawczy, rzutki i chwytny, czepiają-
cy się chętnie tego wszystkiego, co staje na
drodze prostej linii i prostemu rozsądkowi.

Dwulicowość i obłuda,—te dwa niewzruszo-
ne filary nowożytnej cywilizacji nie mogą
ujść oka bystrej obserwatorce życiowej, jaką
jest Mellerowa, i nie zadrasnąć jej pojęć
o moralności i prawdzie.

Zręcznie pochwyliła pajęczę nitki jedwab-
nego kłamstwa i odtworzyła je przedewszyst-
kiem w stosunkach małżeńskich.

Rozśmiała się nad nimi wesoło, serdecznie
i pogodziła je może, nieco za teatralnie, za
powieściowo w swoich „Dwóch miarach.” Że
weseli i wcale nie cnotliwi mężowie wyma-
gają od żon swoich spartańskiej cnoty i ja-
gnięcego posłuszeństwa, że biedne samotnice
wysilają cały swój, tylowiekową szermierką
wyostrzony dowcip, aby zbuntowanego ptasz-
ka przyciągnąć napowrót do gniazda,— jest

to rzecz tak zwyczajna i stara, jak... małżeństwo. Niemniej przeto dla uczestników jest zawsze nieznośna, a dla widzów zabawna.

„Dwie miary“ noszą datę o pięć lat późniejszą od chwili ukazania się „Fałszywych blasków“, a jednak wyglądają na utwór bez porównania młodszy. Jest to jeszcze próba, szkic o rysunku grubym, konturowym, o barwach nikłych, choć bezpretensjonalnych. Pomimo pokrewieństwa tematu, a może właśnie dlatego, nie wytrzyma on nigdy porównania z „Fałszywymi blaskami“. Komedia ta, odznaczona na konkursie dramatycznym w 1876 roku jest sztuką o zakresie poważniejszym, rzeczą, która nietylko podnosi kąciki ust do serdecznego śmiechu, ale łechce refleksy, daje do myślenia.

Ramy sceniczne rozsunały się tu wszędy, tło znakomicie pogłębione. Nawet szczegóły tak czysto zewnętrzne, jak ustawienie figur, umiejętne rozczłonkowanie scen, biegłość i umiar w rzucaniu efektów, świadczą o pomysłnym rozwoju talentu, o pełnej świadomości warunków teatralnych.

Co do bajki, to jest ona i zajmująca i niepowседневną. Dwulicowość słowa i czynu stała tu przed Mellerową w formach nowych, okazalszych, ponętnych dla pióra. Krwawa rozterka pomiędzy tem, co poeta mówi, a tem, co czyni,—rozłam pomiędzy zasadą i życiem,—oto jedno z zagadnień najbardziej palących w duchu i bycie artystów. Niepokoi ono zarówno słuchające tłumy, jak i twórców samych. Wiemy, że fatalnemu temu prawu ulegają nawet jednostki wyjątkowo utalentowane. Być może, że wypływa ono z samej natury tego złotego ptaka, któremu na imię: „artysta.“

„Trzeba mu mieć trzykroć więcej charakteru i woli od innych dla odparcia pokus.. Jest to poprostu chory ptak, mający ciąglą gorączkę, który czasem niknie z oczu za chmurami, czasem wlecze zmęczone skrzydła w pyle i kurzawie. Sztuka daje mu wstręt do pyłu i kurzawy, ale życie odbiera mu siłę wzlotu. Stąd często taki rozbrat między życiem zewnętrznym, a wewnętrznym artystów.“*)

Zdaje się, że tym słowom trudno zaprzeczyć siły przekonania. A jednak fakt istnieje i nie traci znamion palącej zagadki. Jest to poprostu żywy tragizm, ucieleśniony w jednostce pięknej, skrzydlatej i—słabej.

Mellerowa podpatrzyła tylko tragiczną stronę faktu i odtworzyła ją w duchu satyry, z zacięciem pełnym humoru, ale nie bez drobnej kropelki goryczy. Posłuchajmy:

— Było sobie gniazdko, jak tysiące innych. Mąż, żona, mała córeczka. Ona—kobieta pełna ognia i fantazyi, on—mówczy pracownik, drobne kółko w wielkiej maszynie roboczego dnia. Żyli cicho i szczęśliwie, jak tysiące im podobnych. Aż oto zjawił się „ten trzeci“—poeta o greckim profilu i mowie, która płynęła, jak miód. Kobieta była piękna. Młody wieszcz śpiewał cudnie o braterstwie dusz, o szumnym locie orłów, o słodkiej władzy Erosa, mówił pięknie i wiele, obiecywał bajkowe królestwo ducha... Kobiety słuchają chętnie takich słów. Ona słuchała i uwierzy-

ła. Mniemany orlik dopiął swego. Oczarował niedoświadczoną barwnymi piórkami kolibrzych skrzydełek,—wyrwał z cichego gniazda ją i dziecko, zdeptał słoneczną gwiazdę biednego robaka ziemi.

A moralność, a sumienie?—zapyta przeciętny czytelnik. Któż widział mówić o podobnych zabobonach! Moralność jest dla motłochu, cnota jest skarbem niewolników. A ona, a Leonora? Czy także przejdzie nad tą sprawą do porządku dziennego? Zdaje się, że nie, a przynajmniej nie tak łatwo. Widzimy ją właśnie w kilka miesięcy po ślubie z nowym ukochanym. Pierwsze uniesienia miłości zgasły; zostało po nich w sercu coś, jak pustka, jak żal... Wszystko przemija... Mąż orlik okazuje się wyrafinowanym egoistą, pospolicym blagierem intelektualnym. A przecież dla kaprysu tego człowieka rozstała się z dzieckiem, z najdroższą Ewunią... Gdybyż to tylko... Widmo jasnowłosej Flory, aktorki o wątpliwej wartości moralnej staje przed oczami znękaney kobiety. Gdzie szczęście, gdzie ciepło ogniska domowego? Tymczasem Ewunia przysyła list. Pierwszy list, jej pierwsze listki!... Drogie, biedne, opuszczone dziecko!... Ogromną falą wzbiera w jej sercu tęsknota. Tamten... tamten był inny. I oto nagle, jakby wołany tajemnem życzeniem, zjawia się w jej mieszkaniu, cichy i smutny, jak wyrzut sumienia. Po co? Na co? Przychodzi złożyć fundusz na wykształcenie Ewuni i posadę dla nowego szczęśliwca. Sam wyjeżdża. Na długo? Na zawsze.

Leonora pokazuje mu list dziewczynki. Chwila, gdy ten człowiek prosty, starty aż do ziemi, ze łzami przyciska do ust pismo ukochanego dziecka, — chwila ta ma w sobie tony czystego, prostego liryzmu. To już nie efekt sceniczny, to kawałek serca ludzkiego, drgający bólem, ociekający krwią.

Z ust Leonory wyrzywa się stłumiony okrzyk: —Więc on kocha, więc on nie zapomniał?!

Ale twardy pracownik nie ugnie przed nią czoła. Słowo pogardy pada pomiędzy tych dwoje, jak mordercza stal. Ksawery „dawny mąż“ odchodzi i nie wróci już więcej.

Czy to jeszcze komedia? Tak, lecz katastrofa wisi już na włosku. Jeszcze chwila, a wejdziemy w „miasto utrapienia.“

Leonora dość już ma papierowych kwiatów, szklanych pereł i fałszywego blasku. Nie pójdzie dalej z mężem poetą, opuszcza go na zawsze. Straszna pomyłkę stara się okupić krokiem silnym, lecz rozpaczliwym, bo nie odbudować już jej, nie wskrzesić dawnego cichego domu...

Gdyby nie humorystyczna scenka z błazenkowatym Filipkiem, która przegradza te dwa graniczne momenty akcji: ostatnie widzenie się z Ksawerym i końcową rozmowę z poetą, rozwiązanie miałoby niejake podobieństwo z nowożytnym dramatem. Ale kuzynek Filip odegrał tu rolę intermedium komicznego w średniowiecznej misteryi, rozjaśnia, ale i osłabia wrażenie swoich towarzyszy.

Wskutek tego i sama idea pod koniec bladeje. Silnie napiętą cięciwą satyry traciła swawolna dłoń i cios nie dobiegł celu.

Inaczej rzecz się ma z „Kto winniejszy?“. Silnie podznaczona tendencja społeczna rzuca się w oczy płomiennymi rysami i już...

już zdaje się nabierać akcentów grozy i tragizmu. Kto winniejszy? czy krzywdziciel, czy pokrzywdzony? Czy *ten*, co goniąc za chwilowym zadowoleniem zmysłów, zostawia na pastwę życia dwoje istot — matkę i dziecko, czy *ta*, która ponosi wszystkie sromotne skutki chwilowego błędu, lub zapomnienia. Sumienie chyba nie łudzi się w rozstrzygnięciu tego pytania. Inaczej przesąd społeczny. On nie pyta, nie rozumuje, nie sądzi, nie bada. Z góry rzuca dogmat i prawo. On nie odczuwa ogromu przepaści pomiędzy słowem: „hańba“, a słowem „nieszczęście.“ Depcze, miażdży kołem pogardy, pluje i odchodzi.

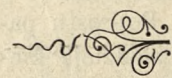
Dotknięcie tej krwawej rany w naszej „Umowie moralnej“, może być poczytane Mellerowej za zasługę, jako działanie, jako czyn, tembardziej, że stało się w epoce, kiedy o takich sprawach nie mówiono wcale, albo „szepcano“ w duchu zabobonu. „Kto winniejszy“, jest w prostej linii następcą „Dziewczyny i damy“ Korzeniowskiego. Idea warta dramatu społecznego, a jednak „Kto winniejszy“ nim nie jest. Ma szlachetną tendencję, ale brak mu rzutu tragicznego, jednolitości w budowie, a zwartości w akcji. Przyzwyczajenie komedyczne wzięło górę i wytrąciło broń z ręki. Autorka z umyślną intencją rozstrzeliła akcję na kilka ostatnich głów, z których jedna uśmiecha się słońcu, jak polny bławatek. To „pierwsza naiwna“ komedii, Bronia. Zato pokrzywdzona matka, Ludwika, ma psychologię głębszą i nawet, jak na komedię wyjątkowo subtelną. Biję od niej twarzą dumy złamanego życia, ale jednocześnie, tam na dnie u grobu uczuć płonie rzewna lampa chrześcijańskiej rezygnacji. A pan Krukowski? Rdzeniem jego duszy jest poczciwość. Tryska ona z wiecznie spoczonej twarzy serdecznego hreczkosieja, z jego ruchów szorstkich, a niezdecydowanych. „Ha! zagalopowałem się, jak zwykle w passyi!“

Miles.

(Dokończenie nastąpi).



Maryan Gawalewicz. ←



J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Serca matek miewają instynkt, który jaśnowidzeniem się staje niekiedy; umieją patrzeć i widzieć w duszy swego dziecka to, czego żadne inne oko nie dojrzy.

Tym wzrokiem serca Taniecka dostrzegła od razu w Henryku zmianę, której oprócz jednej Misi, nikt na pewno w nim nie zauważył.

— A to nam mama zrobiła miłą niespodziankę! — zawołał na powitanie, ujrzawszy ją wchodzącą właśnie w chwili, gdy mieli siadać do stołu.

Służący postawił wazę na kredensie i z własnego domysłu położył trzecie nakrycie dla nieoczekiwanego gościa.

Misia zmieszała się bez wiłocnej przy-

*) Sienkiewicz. „Ta trzecia.“

czyny, pochylając się do ucałowania ręki teściowej, która ujęła najpierw w obie dłonie głowę syna i badawczo, głęboko spojrziała mu w oczy a potem w długim i gorącym pocałunku złożyła usta na jego czole.

Na pozór z równą serdecznością powitała i synową, ale pocałunek był krótszy i chłodniejszy.

— O, zmizerniałaś mi, kochanie! — mówiła, przypatrując się jej pod światło dużej lampy, nakrytej białym, jedwabnym zaciemnikiem, który szerokim kręgiem zlewał blask gazowego płomienia na sam środek stołu, błyszczącego wytworną zastawą do obiadu. — Od czasu, gdyśmy się ostatni raz widzieli, zdaje mi się, że pobiłaś?...

Henryk pośpieszył z odpowiedzią za żonę i z uśmiechem rzekł:

— Czyż to mateczkę dziwi, że młode mężatki miewają interesującą cerę w kilka miesięcy po ślubie. Misiu, wypada, abys się teraz zarumieniała!... O, niech mama spojrzy, jakiego raczka spiekle!

Próbował nadać rozmowie ton żartobliwy i wesół, gdy po powitaniu zasiedli we troje do stołu; śmiał się i dowcipkował, wyrażając radość, jaką im obojgu sprawiła matka swoim niespodzianym przyjazdem, nie pozwolił, aby choć na chwilę zapanowało milczenie przy stole, zasypywał matkę zapytaniami, a do żony zwracał się jak najczulej, wysławiając jej przymioty i wychwalając, jako synową.

Czynił to wszystko jednak z zamiarem złudzenia matki pozorami zupełnego szczęścia i harmonii, aby nie szukała tych ledwie widocznych rysów wewnętrznej rozterki, jaka pomiędzy nim a żoną od pewnego czasu istniała.

Kochający syn odczuł rzeczywisty powód jej tak nagłych i nie przygotowanych odwiedzin.

— Na pewno domyśla się czegoś! — mówił sobie, — po co ją niepokoić i sprawiać ból, który zatrućby mógł jej serce!

Nie mógł sobie wybaczyć, że w kilku ostatnich listach swoich tak niezręcznie odsłonił przed nią głębię własnej duszy, ale przed nią, przed matką jedną nie miał nigdy żadnych tajemnic i od niej jednej mógł się spodziewać wyrozumiałości, ukojenia, pociechy, jakiejby mu cały świat udzielić nie potrafił.

A jednak teraz, gdy ją ujrzał przy sobie, zabrakło mu odwagi zwierzać się przed nią z tego, co mu dolegało; za nic w świecie nie chciałby był wsączać w jej duszę tego jadu, który jemu samemu życie zatruwał.

Za bardzo ją kochał i szanował jej spokój, aby miał rozwiewać jej złudzenia i wiarę, że jest najszczęśliwszym z mężów pod słońcem.

— I dlaczego bym nim być nie miał?... — przekładał sobie, — to przejdzie, to przecież chwilowe tylko. Misia mnie kocha, ja ją kocham; przyjdzie na świat dziecko, pierwsze dzieciątko nasze, i to nowe ogniwo łączy nas jeszcze silniej na resztę życia. Co było dawniej, to przepadnie!...

Wymawiał sobie zbyt drażliwość i wyrzucał, że tyle wagi przykładu do literackiego eksperymentu, w którym urojonych szcze-

gółów od rzeczywistych odróżnić nie potrafi.

Co za dziwna, złośliwa jest ta natura ludzka w człowieku! — myślał, — zamiast korzystać swobodnie ze szczęścia, jakie los nam daje, zamiast z życia zbierać to, co dobre, piękne, rozkoszne, zamiast się cieszyć tem, co się posiada nareszcie po tylu upragnieniach, ona szuka samochcąc cierpienia, trucizny, męczarni, niedowierza, podgląda, wybredza i psuje sobie pozyskane szczęście, mąci spokój, cieniem zasłania słońce, gdy rozbliśnie.

Czemu, dlaczego kolce i chwasty na tej życiowej niwie zbieramy własną ręką nawet wtedy, kiedy tyle kwiatów dookoła nas wyrasta?... czemu w każdym kwiecie rozwitym szukamy koniecznie ukrytego robaka, czemu przywydły listek przy kielichu pełnym woni i barw wystarcza, aby nam zepsuć wrażenie rozkoszy?

Zkąd to wieczne niezadowolenie i ten wrodzony jakby pesymizm w naturze ludzkiej?

Dlaczego nie korzystać z pięknych, jasnych, ciepłych promieni, których niebo nawet największemu nędzarzowi chwilami udziela i czemu nie ogrzewać w nich całej duszy na czas jak najdłuższy?...

Takie pytania zadawał sobie i Henryk w częstych rozmyślaniach nad sobą i swoim położeniem, chwilami rozumował bardzo rozsądnie i przekonywująco, odrzucał wszystko, co jak kurz i popiół wciskało się w najtajniejsze skrytki jego głowy i serca, a mimo to, wystarczał lada drobiazg, lada niepewność, lada pozór, aby go z tej mozolnie pochwyconej równowagi wyprowadzić.

— Więc o cóż ci ostatecznie chodzi? — pytał rozum, — przypuść, że wszystko, co ten Dobrojewski wypisuje było prawdą, że się kochali, że bezwiednie twoja Misia była mu nawet wzajemną, chociaż do tego przyznać się przed tobą nie chciała, że byłaby w końcu za niego wyszła, gdybyś się nie był ty znalazł na ich drodze. Przypuść to wszystko, to i cóż?... Czyż nie tobie jednemu oddała rękę i serce?... czyż nie wybrała ciebie, a jemu dała odkosza?... czyż nie jesteś jej mężem, czy nie twoje dziecko przyjdzie na świat w waszym wspólnym domu?... Czego chcesz więcej?... czemu nie wystarcza ci to faktyczne szczęście, które posiadasz dzisiaj i którego ci nikt odebrać nie może i czemu umyślnie pozwalasz sobie zamącać spokój, czemu sam wprowadzasz rozdzźwięk do swego małżeńskiego pożycia, czemu gorczy zaprawiasz sobie i jej, tej twojej ukochanej Misi, słodycz miodowych miesięcy?... Zastanów się i odpowiedz!

— Tak, prawda, — potwierdzało serce, — ale dlaczego to wszystko, co było między nimi, odsłania mi dopiero przypadek?... dlaczego nie wyznała mi tego sama?... dlaczego musiałem się stać bohaterem sensacyjnej plotki, która jak rój szerszeni krąży teraz około nas trojga?... dlaczego nie mogę do samego dna przejrzeć serca mojej żony, które — nie wiem, ale przypuszczam ciągle — chowa przede mną jakieś tajemnice?...

I tych „dlaczego“ drobnych, małych, ale przykrych i dokuczliwych, jak ziarno piasku zawiane w oko i uwięzłe pod powieką,

mnożyło się razem z argumentami rozsądku i dobrej woli w umyśle Henryka.

Taniecka zanadto dobrze знаła swego syna, aby tak łatwo dała się być złudzić pozorom.

Przez czas obiadu obserwowała pilnie i jego, i Misię, której przecucie także mówiło: — Ten nagły przyjazd nie jest bez powodu!... z tego wyniknie coś złego.

Starła się być naturalną i uprzejmą, nawet bardzo serdeczną wobec matki męża, ale czuła, że ją coś krępuje, że pomiędzy niemi stoi jakaś niewidzialna przeszkoda, która im się zbliżyć do siebie tak, jakby powinny, nie pozwalała.

Podczas obiadu mąż spojrział na nią znacząco kilkakrotnie, gdy wypadłszy z tonu, zdawała się zapominać o obecności teściowej i zapatrzona w srebrną żardinierkę, pełną świeżych kwiatów po środku stołu, siedziała milcząca i zamysłona.

— Misiu, nie uważasz, co mówi mama! — zwrócił jej uwagę.

Ocknęła się i starała pokryć zmieszanie.

— Och, przepraszam najmocniej!... ale to mi się teraz dość często zdarza, że... odbiegają mnie bezwiednie wszystkie myśli — tłómaczyła się, — doznaję jakby chwilowego omdlenia; zasypia mi głowa, powiedziałabym. Mama wybacz!...

— Ależ dziecko, to przecież w twoim stanie bardzo naturalne, — uspokajała ją Taniecka, ale z westchnieniem rzuciła spojrzenie w stronę Henryka.

Pod koniec obiadu nadjechała Dobrojewska.

— A to siurpryza! — zawołała jeszcze w przedpokoju, dowiedziawszy się od lokaja o przybyciu Tanieckiej.

Rzuciła się z głośnie serdecznością do powitania, rozdając na trzy strony jednocześnie uściski, pocałunki i wykrzykniki.

— Kochana pani ze śniegiem nam spadła!... jak się masz, Missetko?... Witam Henia!... Brrr!... co za mróz!... Kiedyż droga pani przyjechała?... podobno dzisiaj?... Każcie mi na miłość Bożką podać gorącej herbaty, moje dzieci, bo jestem kompletnie zamrożona!

Usiadła przy kominku i zaczęła rozgrzewać sobie rączki, przebierając paluszkami i krzywiąc się, jak mała dziewczynka.

— Że się też pani chciało ruszać ze wsi na taki mróz!... — paplała po swojemu, — ale za to już pani przed wiosną nie wypuścimy z Warszawy, prawda, Michette?... albo najlepiej aż po chrczinach!... Nie znudzi się pani z nami, chociaż my z karnawału teraz nie korzystamy. Ach, prawda!... zapomniałam, że my obie przyszłe babunie na balach już bywać nie możemy. To nie wypada!... Zakrakaliby nas!

Zrobiła minkę nieszczęśliwą i dodała:

— I tak już dosyć kraczą!

Taniecka, nie rozumiejąc, spojrziała na nią zdziwionemi oczyma.

— Kraczą?... co to znaczy?

— Jakto, nie pani nie słyszała?... Z powodu tego głupiego „Piekielek“.

— Mamo! — odezwało się jednocześnie z ust Henryka i Misi.

Maman Dobrojewska nie mogła nigdy od

razu się połapać, w czym jej gadatliwość zawiniła.

— Co?... czy nie trzeba o tem mówić?... — spytała, spoglądając to na córkę, to na zięcia; — przecież jesteśmy w najściślejszym kółku familijnem. Myślałam, że...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Odpowiedź.



Czem mgły — przepaście — czem chmury

Dla orla? Dla syna Tatr?

Mgły morze dołem się wleczę

Na turnie nie sięgnie wiatr!

W pokoju światło przestworza

Mój lot wyniesie mnie chyż —

Nie sięgną chmury i grony

W nadziei błękitną wyż!

Gdy słońce zejść ma dla świata

Wnet promień padnie — na szczyt —

W podniebne wzniesion wyżyny,

Ja pierwszy powitam — świt!

Gdzie marne życie nie sięga

Nie sięgnie i marny zgon

Tam cisza — pokój bezbrzeżny,

Tam orłów tron!

Adela Koneczna.



Wychowawczy wpływ dziecka NA WYCHOWAWCÓW.



(Dokończenie).

W dzieciach cztero, pięcioletnich, popędy do złego i dobrego występują bardzo już wyraźnie i pod wpływem tych naturalnie budzących się instynktów, rodzice, baczna uwagę na dzieci swe zwracający, winni w umiejętny, do wieku i rozwoju dziecka zastosowany sposób, wskazywać małym ludziom, jak jednym popędem dogadzać, inne zwalczać należy. Od dzieci samych, baczni rodzice, czy wychowawcy, uczą się, jak należy celowo rozwijać i zadawać w dzieciach upodobanie do różnych zajęć, do zabawy i nauki; — uczą się, że nie należy dla własnej wygody krępować niepotrzebnie swobody dziecka tam, gdzie ono ma do niej nie tylko pełne prawo, lecz gdzie przez nią właśnie występują najcenniejsze dla wychowawcy wskazówki co do charakteru przyszłego człowieka.

Z chwilą rozpoczęcia nauki szkolnej, wychowawczy wpływ dziecka nie słabnie bynajmniej, przeciwnie, raczej wzmacnia się.

Ład i porządek powinny być przestrzegane ze zdwojoną gorliwością. Niema już czasu na pieszczotliwe opóźnianie się i ociąganie; dziecko musi być punktualne, albowiem wcześniej wkorzenione poczucie obowiązku i ładu błogosławiony wpływ pozostawia na życie całe. Dziecko powinno zżywać się

z ładem i porządkiem utrzymywanymi spokojnie, równo, bez gorączkowego rwania się, pośpiechu, które tak na dzieci, jak i na rodziców oddziaływać muszą denerwująco, a więc niezdrowo. Nauka w pierwszym roku szkolnym nie powinna rozpoczynać się przed 9-tą, na spożycie śniadania trzeba dziecku pozostawić czas dostateczny. Wszelkie przygotowania przed pójściem do szkoły muszą być dokonywane spokojnie, z przeświadczeniem, że czasu stanie na wszystkie. Niepotrzebny, źle umieszczony pośpiech podnieca bezcelowo nerwy, budzi niepokój, wyradza roztargnienie, słowem jest niezdrowy tak dla ducha, jak i dla ciała.

Oprócz hartowania ciała, które zwłaszcza z rozpoczęciem życia szkolnego nader ważne ma znaczenie, lecz którego nigdy nie należy przeprowadzać bez wskazówek doświadczonego, z właściwościami organizmu dziecka obeznanego lekarza, istnieje inne jeszcze hartowanie, które możnaby nazwać hartowaniem etycznym, hartowaniem przeciw srogościom duchowej atmosfery. Hartowanie to zasadza się na wyrabianiu w dziecku zdolności do znoszenia zmian i ostrych powiewów duchowej natury, odmawiania sobie jakiegokolwiek upragnionej rzeczy, do małych niewygód, oraz nieprzyjemności, doznawanych niekoniecznie od wynikłych z powziętej z góry intencji dokuczania dziecku, w każdym atoli razie dla dziecka przykrych.

W miarę jak dziecko wzrasta, samo ono i w tym względzie naprowadza wychowawcę na właściwą drogę. Baczny spostrzegacz odczuje łatwo, do znoszenia jakich przeciwności dziecko winno być nakłaniane, ponieważ poczucie sprawiedliwości bywa w dzieciach rozwinięte z całą, poprostu bezlitością bezwzględnością.

Do etycznego hartowania dziecka należy także wyrabianie w niem gotowości w wyświadczeniu drugim przysługi, podejmowania drobnych trudów dla ulżenia, lub dogodzenia drugiemu, jak również kształcenie w dziecku wytrwałości w każdym, przez dziecko podjętym, choćby najdrobniejszym, celowym zajęciu. W taki sposób w stosunku z towarzyszami, czy towarzyszkami, wyradzają się najpiękniejsze, najszlachetniejsze przymioty charakteru, które przygotowują dziecko dla późniejszych, szerokich, społecznych i humanitarnych celów. Dzieci od nas uczyć się powinny, jak się do życia i świata „stosować“ trzeba, żeby zaś tego od nas uczyć się mogły, muszą w nas to widzieć; jeśli więc my tego nie umiemy, musimy dla nich nauczyć się. Niestety, bywają rodzice, i to w dużej liczbie, którzy „stosowanie się“ do życia pojmują w bardzo ciasnym zakresie i przede wszystkim stosują się do kaprysów i przywar swoich dzieci. Tacy rodzice ani nie wiedzą kiedy, zakuwają się w niewolę, a dzieci swe pasują na despotów, tyranów, niezdolnych w późniejszym życiu dla siebie i drugih.

Dziecko winno rodzicom okazywać posłuszeństwo, oparte na bezgranicznym zaufaniu. Gdy takie, na głęboko odczuciem zaufaniu ugruntowane posłuszeństwo, trwale w duszę dziecka wkorzenione zostanie, rodzice mogą nawet, bez szwanku dla swej rodzicielskiej

powagi, rozważać z dzieckiem przyczyny swoich rozkazów, zwłaszcza, jeżeli spostrzegą, że dla dziecka były one przykre. Takie rozważanie utrwała jeszcze zaufanie i miłość dziecka. Rodzice, t. j. rozumie się głównie matka, bo ta nierównie więcej z dzieckiem przebywa, znowu od niego uczy się, kiedy, w jakim wypadku, surowy rozkaz jest konieczny, kiedy zaś niekorzystny może wywołać skutek.

Szkoła i dom powinny wspierać się wzajemnie.

Szkoła wymaga, aby dziecko nigdy nie zjawiało się w niej nieprzygotowane, żeby nie tylko ono samo czysto było ogarnięte, lecz i przedmioty szkolne czysto i starannie utrzymywane były. Nieporządek, nieład, szkodliwe i gromione w szkole, szkodliwe są też w domu a dla rodzicielskiej sakiewki bywają częstokroć przyczyną niepotrzebnego wydatku. Nieporządek niszczy przedwcześnie przedmioty do nauki potrzebne i wywołuje konieczność zastąpienia ich nowymi. A więc zaglądamy często do książek i kajetów szkolnych dzieci naszych, (rozumie się mówię o dzieciach w nauce początkujących, najwyżej 10 — 12 letnich), przekonamy się o ile dzieci nasze mają zamiłowanie do porządku, a jeśli się zdarzy, iż które poskarży się, że ten lub ów professor, czy nauczycielka „uprzedza się“, należy sprawę wy badać sprawiedliwie, u źródła.

U dziecka normalnego, tak co do rozwoju umysłowego, jak i dobroci charakteru, wystarcza rada, pochwała lub serdeczne dodanie odwagi, żeby młodziutką istotkę utrwalić w pilności i ochocie do nauki. Szkoły właściwie powinny być oparte na takim systemacie, żeby normalnie rozwinięte dziecko dawało sobie radę samo. Swoboda, to najwyższe dobro, jakie człowiek osiągnąć może, a do swobody należy też i samodzielna praca; uczący się zatem powinien pisać i pracować tak, jak umie, czyli jak myśli, przyczem jednak jasno odczuwać, rozumieć powinien, że się doskonali i w wiedzy postępuje.

— „Czegóżście się uczyli dzisiaj?“ oto pytanie, do którego rodzice, na widok ze szkoły powracających dzieci, czują się prawie znagnieni.

Człowiek każdy z dniem każdym nowe zdobywa doświadczenia, z dniem każdym umysł jego się rozszerza, lecz ludzie dorośli nie zdają sobie z tego dostatecznej sprawy, czy jednak inaczej dzieje z dzieckiem, a dzieć się powinno, o tem dziecko rodziców i rodzice sami co do dziecka przekonać się powinni.

Zdarza się, iż przy takim badaniu rodzice napotykać słabszą jakąś stronę nauczyciela i mimowoli krytyczna uwaga wyrwie się z ust ojca lub matki. Zdumione oczy dziecka uczą nas w tejże chwili, żeśmy popełnili nietakt karygodny i szybkim zwrotem staramy się myślom dziecka inny nadać kierunek. Karcenie wychowawców w obecności dziecka, odzywanie się o nich lekceważące, to wielki błąd, za który nas dzieci same potem karzą.

Uwagi nauczycieli, świadectwa szkolne, niezawsze przynoszą rodzicom to, czego by dla swoich kochanych „małych“ pragnęli, i nie

zaprzeczam, że niejednokrotnie, nauczyciel, wniknąwszy głębiej we wszystkie pobudki, kierujące postępowaniem dziecka, zmieniłby o niem opinię, wyrzeczoną za pomocą stopnia. Szkołę tworzą tylko ludzie, a rodzice i nauczyciele są też tylko ludźmi i takimi ludźmi będą dzieci nasze, więc omyłka niekiedy przytrafić się może.

Gdy dziecko z trwożnym wzruszeniem i z łzami tłómaczy się ze swego przewinienia, lub złego stopnia, otrzymanego w szkole, sam jego widok jest rodzicom wskazówką, jak postąpić należy. Broń Boże wtedy głos podnieść gniewny, broń Boże o karze pomyśleć! Dobre a rozumne słowo, takie któreby dziecku winę jego jeszcze głębiej odczuć dało, a jednocześnie nie zabierało nic z serdecznego dla rodziców uczucia, nie z zaufania bezbrzeżnego, jakim dziecko matkę i ojca darzyć winno,—dobre, rozumne słowo, które nie pozwoli goryczy zakiełkować w serduszkach młodziutkiem, ochroni dziecko przed pokusą ukrycia czegośkolwiek przed tymi, którzy w jego głowie myśl każdą, tem więcej zgubną, jasno czytać winni,—dobre i rozumne słowo to większa i trwalsza siła, niżli głos gniewny, lub karząca ręka.

Mogłabym tak jeszcze wyliczać nieskończenie długi szereg wskazówek wychowawczego wpływu dziecka na rodziców, wychowawców i całego domowego otoczenia, lecz sama byłabym złym uczniem moich maleńkich nauczycieli, gdybym nie umiała streścić się i przerwać w porę.

Wspomnę jeszcze tylko o wychowawczym wpływie dziecka na rodziców w najważniejszym dla niego kierunku, o tem, że przez pełne miłości wnikania we wszystkie wychowawcze wskazówki, dostarczane nam przez dzieci, rodzice uczą się, w jaki sposób uczynić je szczęśliwymi.

Darzyć szczęściem dzieci własne, przyczynić się skutecznie do ich szczęścia, to znaczy być szczęśliwym.

A zatem przez pilne obserwowanie dziecka zdobywamy świadomość, co rzeczywiście czyni człowieka szczęśliwym. Przedewszystkiem owa szlachetna swoboda używania prawdziwych dóbr tego życia z wdzięcznym dla losu uczuciem, z którem łączy się miłość bliźniego i czynów wzniosłych. Umocnienie w dziecku tego pojęcia, które na całe życie pozostaje źródłem radości i zadowolenia, jest najwspanialszym wynikiem wychowawczego wpływu dziecka na czujnych i obowiązkom swym oddanych rodziców, pragnących zapewnić szczęście dziecka wszystkimi, przez nich rozporządzanymi wychowawczymi sposobami, z któremi jednocześnie spaja się myśl o pozostawieniu dzieciom pola do zdobywania tych dóbr najwyższych. Dzieci wtedy widzieć będą w rodzicach swoich największych dobroczyńców, a w sercach ich umocni się najrzadsza może, ale najwięcej zadowolenia przynosząca cnota,—wdzięczność. Ona to na zawsze utrzyma pomiędzy dzieckiem a rodzicami słodką harmonię, w duszy dziecka rozbudzi cześć, po za grób jeszcze sięgającą, rodziców napełni najwyższą szczęśliwością, w której też mimo-wiednie mieści się uczucie tkliwej wdzięczności. Wdzięczności za to, że ich cała istota w intelektualnem i etycznem zrozumieniu,

przez wychowawczy wpływ dziecka uszlachetniała się, udoskonaliła i że przez wpływ ten właśnie zakosztować mogli owego najwyższego szczęścia, jakie dane jest człowiekowi na ziemi, umieli być dla ukochanych dzieci swoich dobrym ojcem i dobrą, wiernie oddaną matką.

Zofia Seidlerowa.



O szczęście dziecka!



III.

Poszanowanie pracy innych.

„Kiedy widzisz skrę, co pryska
„Z nad kowadła i ogniska,
„Gdy dłoń widzisz z kielnią, młotem,
„Jak nad głową śmiga hardo,
„Gdy na twarzy złanej potem,
„Odgadujesz dolę twardą,
„Uchyl czoła, synu miły,
„Przed tym, co się krwawo znoi...
„Lud i praca to są siły,
„A świat cały niemi stoi...”

M. Konopnicka.

Najwięcej może bólów, cierpień i krzywd czują ludzie w tem, iż nie umieją wzajemnie cenić i szanować swych prac. Ci, którzy pracują dla idei, cierpią, gdy im społeczeństwo tylko zapłatę grosza za to daje. Ci, którzy pracują za wynagrodzeniem umówionem, żalą się, że nigdy ani odrobiny serca nie dostaną w dziale. Ci, którzy dźwigają wielkie ciężary prac niskich, tem więcej ciężar ów czują, iż potracani są i jakby z pogardą mijani przez tych, którzy bogdaj czy zupełnie nie nie robią.

I jeśli w obecnej dobie, pełnej zmian i różnych reform, o co w wychowaniu dzieci należy dbać usilnie, to najwięcej o to, ażeby młode pokolenie poczęło pojmować znaczenie pracy, umiało ją cenić i szanować, a przez to samo poznało, jak wielkiem dobrodziejstwem narodu są owe ramiona silne i niezmęczone, które pracą dźwigają podwaliny bytu i istnienia.

„Uchyl czoła,”—woła poetka we wzniosłej swej poezji,—uchyl czoła przed tym, co się krwawo znoi, bo lud i praca to są siły i temi siłami stoi świat cały, wszystko wielkie się spełnia, wszystko potężne utrwała się.

Uchyl czoła, dziecino drobna, przed tą dłonią czarną i ciężką, której może nigdy nie dotknęłaś, i nie wiesz, jak jest szorstka, a od niej wzięłaś już nie jeden raz pomoc wielką, boć wszystko, co ci wygodę daje, dłonią tą przyniesione i uczynione bywa.

Dziwnie dalekim bywał dotychczasawsze ów świat dzieci od świata ludzi pracujących. Jako świt od zachodu oddalony jest długością dnia i zarem południa, tak od promiennego, różowemi blaskami ozlączonego świata dzieci szczęśliwych i w dostatku chowanych, dalekim i nieznanym jest mrok nędzy, pracy, trudu i potu.

Dzieci nasze uczą się poznawać wiele rze-

czy i stron życia, lecz spracowanych, zmęczonych, oni, zdaje się, nie widzą.

Służąca spełnia codzienne swe prace, jak machina, regularnie, dzień po dniu, dzieci jej nie raz rozkazują, krzyczą na nią, żądają, aby prędzej lub lepiej to spełniła, ale żadne nie wie, ile praca ta ma w sobie przykrości, ile sił wymaga, jak często umęczy.

Biorą dzieci chleb do ręki, smaczną bułeczkę, zjadają ciasta, ale nie wiedzą, ile to prac składało się na wytworzenie tego posiłku, czy przysmaku!... Wdziękują ubrania, korzystają z książek, jeżdżą kolejami lub tramwajami, ale to wszystko biorą, jako rzeczy już istniejące, będące, przeznaczone dla wygody i pożytku, a nie rozważają, iż ci najczęściej nie używają nic z tego, co wyrabiają i przy czem służą.

Są to owe silne dłonie, które młotami śmigają, są to owe lica ogorzałe przy żarze słońca, lub opalone dymem ognisk, są to owe barki szerokie i pochylone od dźwigania ciężarów, są to szeregi ludzi, nieznanymi prawie nigdy z imienia, lecz z zawodu... Bo mówi się: szewc, stolarz, praczka, stróżka... bo tylko zna się tych ludzi, jako maszyny pracujące, a nie jako jednostki ludzkie, jako równe nam istoty z ducha i myśli.

Więc potem, gdy początkowe wychowanie nie nagnie uczuć dzieci ku życzliwemu szacunekowi dla prac wielu,—przychodzi życie dziwnie rozłamane, tworzące kasty i stany. „Idzie wielki, idzie król—ludzki ból...”, bo jedni są pogardzani i niekochani, inni są zimni i obojętni, szczęścia niema, gdy nie czują się wszyscy bliżej sercem, gdy pycha z jednej, a poniżenie z drugiej strony patrzą ku sobie.

O szczęście dziecka dbając—trzeba uczyć go szanować wszystkie stany i warstwy, wszystkie klasy i zawody. Wszak tak wychowane dziecko stanie się najszlachetniejszym obywatelem, bratem serdecznym, przyjaciелеm zacnych ludzi i wtedy szczęście czerpać będzie ze źródła nie wysychającego, bo ze spokoju sumienia, które nie splamione jest egoizmem, próżnością lub zimną obojętnością.

Jeśli dziecko ujrzawszy robotnika w odzieży brudnej i szpetnej, odwraca się od niego jakoby z trwogą, potrzeba go właśnie ku niemu zbliżyć i rzec: „Widzisz, on pracował dziś przez dziesięć godzin, stał przy piecu gorącym, w dymie gryzącym, dźwigał młot ciężki!... patrz, jak mu pot poorał oblicze, patrz, jak mu ogień oczy przygasił!... Czyż nie żal ci go?... Gdyby takich, jak on 100, 200, 1,000 nie pracowało, nie mógłbyś tak wygodnie koleją jeździć, nie powitałbyś tatusia tak rycząco...”

Jeśli dziewczynka nie umie podziękować służącej za jej posługi, jeśli nie chce być dla niej uprzejmą, najlepiej kazać Marysi, aby przez kilka dni nie paniencie nie robiła. Niech sobie sama oczyści trzewiki, a pozna, iż to ręce bołą; niech sama zmiata, a przekona się, że to nie tak łatwe, jak się zdaje; niech sama przyniesie wody, rozpali w piecu... O!... wtedy, gdy najwięcej ma chęci do zabawy lub czytania, a tu robota mozolna i nudna czasu dość zabierze, pozna dziewczę zapewne, jak bez pomocy Marysi źle i niewygodnie.

Ludzie dziś żaląc się na brak szczęścia, narzekają także i na to, iż jest w świecie nieu-

fność, niechęć wzajemna, a co gorzej, nienawiść stanowa. Wszystko to podkopuje szczęście i jednostek i ogółu, a rodzi się tylko z tego, iż ludzie nie umieją wzajemnie swoich prac cenić i szanować.

Rodzice sami wychowani w zastarzałych pojęciach, wychowują i swoje dzieci w tem przekonaniu, iż są ludzie wyżsi i niżsi. Wyżsi przez to, że albo wcale nie pracują, albo pracują tylko myślą, duszą, artystem. Niżsi muszą na chleb zarabiać, a zarabiają pracą fizyczną, realną, która brudzi odzież, zgrubia ręce, ramiona pochyla i nie zostawia czasu na czytanie wygodne, na spoczynek słodki.

Rodzice sami zasiewają ziarna nieszczęść, bo uczą nieposzanowania pracy drugich, pielęgnują pychę, aby zapuszczała jak najgłębiej korzenie, jako trucizna i gangrena moralna.

— Co? twój kolega szewczyk? tybys się z nim bawił? Czy nie wstydzisz się tego?...

— Jako?... chcesz się bawić [z córeczką stróża? czy to odpowiednie dla ciebie? cóżby o tobie pomyślały tamte panienki, córki X., Y.?...

— Proś nauczyciela, aby cię przesadził, nie siedź obok Jasia, to syn przekupki...

— Nie możesz to zawołać Marysi, aby ci podała robótkę, po cóż masz się męczyć i chyłać, gdy spada, od czego ona, jak nie od posługi?...

W podobnym rozstroju wyrabiają się pojęcia młode i rozwijają charaktery. A gdy potem źle jest w życiu, ludzie biadając, pytają: Czemu?

Bo ludzie dla ludzi są nie jak bracia najlepší, ale jak źli i pyszni. Gardząc pracą — poniżają i ludzi, a wtedy nie mają sami szczęścia i drugim go nie dadzą. Kto marzy o szczęściu dziecka, ten niech wie, iż ono może rozkwitnąć we wspólnem szczęściu wszystkich. I najubożsi i najniżsi godni są naszego szacunku, gardzić tylko należy nieużytecznymi próżniakami. Więc wyrabiając zamiłowanie do pracy — uczmy także cenić każdą uczciwą i pożyteczną pracę, a wtedy zanikną łzy krzywd i poniżenia, na pogodnie niebo wszędzie świt szczęścia.

Jadwiga z Z. Strokowa.



Kobieta w twórczości Rafaela.



„Tu leży Rafael, ten sam, za życia którego pokonania, — wraz ze śmiercią — śmierci leżała się matka natura.“

Słowa te kazał wyrzeźbić kardynał Bembo na grobowcu artysty, którego współcześni uważali za największego może malarza. Dziś sądy zmieniły się bardzo: przestaliśmy szukać w sztuce li tylko pięknych form, harmonijnych linii i barw, lecz staramy się także odnaleźć w niej odbicie duszy ludzkiej, — tych szczęśliwych i cichych, pełnych spokoju i równowagi, i z drugiej strony chwil strasznego szamotania się i okropnego zwątpienia, które są udziałem każdego człowieka. Nie rozumiemy dziś prawie sztuki, któraby po za piękną formą nie posiadała jakiegoś głębszego podkładu psychologicznego.

To też Rafael, sądzony z tego punktu widzenia, musiał wiele stracić ze swojej aureoli, w którą go jednostronni krytycy ustroili, i panegiryk kardynała Bembo, na jego cześć pisany, wydaje się nam mocno przesadzonym. Rafael był przedewszystkiem geniuszem eklektycznym o bardzo miernej indywidualności. Przykładów tego twierdzenia możnaby całą masę przytoczyć, — tutaj wspomnę tylko o wpływach Perugina, Leonarda da Vinci i Michała Anioła, którym po kolei podlegał. Takie „Sposalizio“ np. jest tylko zrzeczną i ładną przeróbką podobnego tematu Perugina, „Madonna de Canigiani“ jest aż do przesady skomponowana po leonardyjsku (w trójkąt). Michał Anioł odbił się wreszcie w wielu rzymskich dziełach naszego artysty („Madonna Alba“, „Sybille“ i w. in.).

Rafael był człowiekiem, który umiał przystosować się do wszelkich okoliczności, umiał żyć z różnymi ludźmi, zyskując ich sympatyę, wrodzoną sobie przejęmością i słodczą charakteru. Jego idealnie piękna, lubo nieco miękka twarz i grzeczne maniery, czyniły go człowiekiem wielce pożądanym w towarzystwie i nie mało przyczyniły się do jego sławy u współczesnych. Nie potrzeba chyba dodawać, że cieszył się w wysokim stopniu względami dam. Miłość w jego życiu odegrała jednak rolę drugorzędną: nie była ona nigdy prawdziwą ekstazą, uczuciem pogłębionem, — a przechodziła i przechodziła, nie pozostawiając żadnych głębszych śladów po sobie. Piękny cavaliere był dość powierzchownym człowiekiem. Nawet nazwiska jego kochanek nie przeszły do potomności.

Rafael patrzył na kobietę, jako na formę wcale ładną, — bardzo nawet ładną, ale nie wnikał wcale w jej duchową istotę, zupełnie jej, jednym słowem nie rozumiał. I Michał Anioł nie odczuwał najczęściej psychologii kobiety, jako takiej, użył jednak jej formy do wypowiedzenia swych własnych myśli, czego Rafael zupełnie by nie potrafił, nie mając właśnie prawie nic do wypowiedzenia od siebie. Michał Anioł traktował swoje postacie niewieście, jako apostołki swych własnych myśli, Rafael widział w nich tylko piękne kształty.

Jego „Madonna del Granduca“, jedno z wcześniejszych dzieł, powstałych pod wpływem twórczości Perugina, posiadała jeszcze wszystkie cechy szkoły umbryjskiej: delikatny owal twarzy Matki Bożkiej, rysunek jej ust, skromnie spuszczone oczy, wszystko to, nie będąc oryginalnym pomysłem Rafaela, posiada duży wdzięk: czuć jeszcze ostatnie przebliski gasnącego quattrocenta.

Ale już w portrecie Magdaleny Strozzi-Doni porzuca dawne ideały i dąży do doskonałym wzorem „Mony Lizy“ Leonarda da Vinci; na nieszczęście, przejmuje od niego tylko upozowanie i drobne szczegóły wykonania, nie przypuszczając nawet, że w dziele tem jest jeszcze coś, co się z pod jego obserwacji najzupełniej wymknęło. Leonardo da Vinci namalował w portrecie Mony Lizy kobietę-sfinksa, Rafael namalował głowę, biust i ramiona Magdaleny Doni. Żadnego motywu psychicznego, indywidualnego odczucia charakteru modelu, niema w tym portrecie; jest on czemś w rodzaju bardzo pięknej, prawdziwie artystycznie kolorowanej fotografii.

Pomiędzy rokiem 1505-ym a 1506-ym wykończył Rafael „Madonnę w zieleni“, znajdującą się obecnie w galerii wiedeńskiej. Pomiędzy rokiem 1507-ym a 1508-ym Madonnę zwaną „La belle Jardinière“ w Luwrze. Oba te malowidła, wykazujące zupełne uleganie wpływowi Leonarda da Vinci, co do kompozycji (szczególniej pierwsze robi wrażenie zadania szkolnego na kompozycję w trójkąt), Praksytelesowi, co do aktu Dzieciątka, wykazują jednocześnie, że i tu Rafael nie umiał dostatecznie wnikać w psychologię swych modeli. Matka Bożka t. zw. „w zieleni“, ma

postać bardzo szlachetnie zarysowaną, ruchy poważne i miękkie, ale subtelnego a głębokiego erotyzmu, jaki spotykamy zazwyczaj w dziełach Leonarda da Vinci, niema tu wcale. Cała ta postać jest tego rodzaju, że trudno byłoby właściwie powiedzieć co, i czy w ogóle cośkolwiek wyraża. W „La belle Jardinière“ Madonna jest wielką panią, którą możnaby nawet i w ten sposób wytłómaczyć, że strofuje właśnie Dzieciątka; ponieważ jest jednak dobrze wychowaną osobą, ma więc nawet uprzejmy wyraz twarzy, tem bardziej, że czuje na sobie wzrok widza, który stoi przed obrazem.

Przenieśmy się teraz myślą na chwilę do Stanzy della Segnatura w Watykanie. Przypatrzmy się tutaj alegorycznym postaciom niewieścim: „Teologii“, „Filozofii“, „Poezyi“, „Sprawiedliwości“ i freskowi, wyobrażającemu scenę grzechu pierworodnego.

Postacie alegoryczne wykazują co do formy (zwłaszcza ruchy i draperye) wybitne wpływy geniuszu Michała Anioła, co do treści... oryginalną płytkość Rafaela. Alegoria nie tłómaczy się tu sama z siebie, a do zrozumienia jej potrzebne są napisy na tabliczkach, które trzymają aniołki, umieszczone po większej części w arcyniewygodnych pozach, a do tego strojące jeszcze zupełnie nieodpowiednie minki.

Pod tym względem charakterystyczną jest postać „Sprawiedliwości“. Jest to taka pani, która w wolnych od zajęć chwilach zasiada z całą powagą na obłokach, w otoczeniu niewiedomo czemu zagniewanych, i z łobuzowską ironią przyglądających się jej aniołków. W lewej ręce trzyma dla przyzwoitości wagę, w prawej zaś miecz, którym z największą „nonszalancyą“ macha, — jak łapką na muchy. Oczy skromnie spuszcza w tem błogiem mniemaniu, że może się komu w tej pozie spodobać. W ten sposób „robi“ ta pani sprawiedliwość! Na szczęście umieścił Rafael obok niej tabliczkę z napisem „Jus“, zapobiegającym wszelkim mistyfikacyom, co do natury czynności tej nadobłocznej dziewicy.

Największą pretensjonalnością, co do głębokości pomysłu, odznacza się postać „Filozofii“. Siedzi ona w pozie Sybille Michała Anioła na tronie, którego poręcze zdobią wyobrażenia matki-natury, Cybeli o stu piersiach. W rękach dzierży dwie wielkie księgi, wstydlawy jednak wyraz twarzy aż nadto wskazuje, że ich nigdy nie otwiera. Po obu jej stronach zmykają, znów niewiedomo dlaczego, zagniewane aniołki. Całość robi wrażenie kompozycji wyrozumowanej na zimno, złożonej z drobnych, zupełnie niedopasowanych do siebie pomysłów, pomimo, że oddzielne formy i postacie są rysowane i malowane przepysśnie wprawną dłonią.

Podobny sąd dotyczy też i sceny grzechu pierworodnego. Z wpływami Michała Anioła miesza się tu niektóre szczegóły, zapożyczone od Leonarda da Vinci, jak np. twarz Ewy, pozbawiona zresztą wszelkiego zmysłowo-kuszącego wyrazu.

Ażeby dobrze zrozumieć różnicę Rafaela i Michała Anioła, wystarczy porównać oba ich dzieła na jeden i ten sam temat: Adama i Ewy. U Michała Anioła widzieliśmy (zob. art. „Kobieta w twórczości Michała Anioła“ „Bluszcz“ nr 26-ty z r. b.) głębokie wniknięcie w psychologię chwili, ujęcie koniecznego jej znaczenia; Rafael namalował piękny akt męzki i kobiecy na tle jakiegoś drzewa, naokoło którego owinał się wąż, — i nazwał to „Grzechem pierworodnym“. Jego Ewa ma ten sam łagodnie uśmiechnięty wyraz twarzy, co i Madonny; jest ona tylko niebrzydka kobieta na gust ówczesny. I pomyśleć tutaj, że Pan Bóg miał o niej Adamowi powiedzieć: „Polożę nieprzyjaźń pomiędzy nią a tobą... ona zetrze ci głowę, a ty na jej piętę czyhać będziesz!...“ Rafael zupełnie nie rozumiał tych słów, i podczas gdy Michał Anioł

przedstawił kobietę, jako żywioł,—wyrysował i pokolorował akt modelki.

Wielką jednak różnicę widzimy w dwóch późniejszych nieco dziełach Rafaela: Madonnie „della Sedia” i „dei Candelabri.” Tutaj kobieta przeistacza się u niego w coś mistycznie nieziemskiego, w uosobienie jakiejś tęsknoty i melancholii, której zarody wyniósł ze szkoły umbryjskiej. Szczególniej Madonna „della Sedia” ma w swej twarzy tyle zadumy, jej wielkie ciemne oczy tak tęsknie, a zarazem z dobrocią spoglądają w świat, że dziwnem się wprost wydaje, iżby ten powierzchniowy formalista Rafael mógł dotknąć strun, tak głęboko ukrytych w duszy ludzkiej.

Ale już w „Sybillach,” malowanych al fresco w kościele Santa Maria della Pace w Rzymie, staje się nanowo płytkim eklektykiem, dziwnie łączącym formy Michała Anioła z igrającymi koncepcjami starorzymskich malarzy. Sybille jego nie są sybillami,—co najwyżej udają, że są niemi.

Zapoznajemy się wreszcie z Rafaelem, jako twórcą Madonny Sykstyńskiej. Dziwna rzecz, że człowiek, który przez życie całe przeszedł, jak przez gody weselne, nie zaznał ani zawodów, ani rozczarowań bolesnych,—teraz pod koniec swego życia, pod wpływem wspomnień swego dzieciństwa, spędzonego w Umbryi, staje się mistykiem i marzycielem. Madonna Sykstyńska jest jakby spowiedzią z tęsknoty za światem za zmysłowym. Postać Matki Bożkiej technicznie jakąś podniosła, nieziemską, a cały obraz czyni wrażenie wizji. Tyle w nim nastroju religijnego i szczerości uczucia, że chętnie zapominamy niektóre naleciałości (np. draperya szaty Matki Bożkiej jest w stylu Michała Anioła); całość przytem jest nadzwyczaj harmonijna, a płynność linii rysunku przypomina znakomite wzory helleńskie.

Przykro jest pomyśleć, że po takim dziele Rafael namalował podanie o Psyche i Amorze. O ile w Madonnie Sykstyńskiej był mistykiem, o tyle tutaj, malując postać Psyche (Merkury i Psyche), stoi na bardzo realnym gruncie. O uduchowieniu niema tu mowy. Psyche jest to muskularna kobieta, bardzo roznegliżowana, która o Duszy nigdy zapewne nie słyszała. Za to pod względem formalnym jest to dzieło pierwszorzędnej piękności.

Rafael posiadał w ogóle nadzwyczajny zmysł i poczucie form, któremi umiał władać z zadziwiającą sprawnością techniczną. Tworzenie było dla niego zabawką wyobraźni, a nadzwyczajna pamięć kształtów ułatwiała mu je znakomicie. Nie dziw więc, że kobiety, stworzone przez niego, są piękne, doskonale rysowane i malowane,—z drugiej jednak strony są one, z małym wyjątkiem, bezduszne i nie po za samym kształtem nie wyrażające.

Kobiety Rafaela są za piękne, by miały być istotami myślącymi i czującymi.

Stanisław Schneider.



Marya Łopuszańska.

OBRAZY

Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



WSTĘP.

Myśli, ty szybujesz jako jaskółka po nad otchłanią wieków. Wieki przed tobą suną długim korowodem, szeregi zdarzeń następują po sobie, ale ty wiesz, że stanowią one

jeden wielki łańcuch, którego początek i koniec ginie w mrocznej dali.

Ludzkość, to bryła kamienna, bezustannie obciosywana ręką najwyższego Rzeźbiarza,—a jak w bryle kamienia kryje się iskra ognista, tak w olbrzymiem ciele Ludzkości kryje się Bozka iskra ducha.

Ilekoć uderzy weń potężna owa dłoń, władająca dłutem, która ma z bryły wyciosać kształt bozki, tylekoć iskrę zeń wykrzesze.

— Uderzaj, Panie, uderzaj!—niech prawica Twoja będzie jako grom, bylebyś tylko iskrę nieśmiertelną na światło dzienne z kamienia wydobył...

Silne są i straszliwe Twoje ciosy, aż jęczy pod niemi nieraz struchlały rodzaj ludzki.

A człowiek niemi przywalony, zazdrości częstokroć zwierzętom, i drzewom, i wszelkim tworom niemy.

Bo powiada: „Oto w nich niema iskry owej Bożkiej a straszliwej,—i spokojne są i próżne boleści i trwogi,—jako te kamienie przydrożne.”

Ja zaś cierpię i wiję się pod potężną dłoń Pana, jak robak w prochu.

Zaprawdę, iskra ta, którą tchnął we mnie Pan, cudownym i strasznym jest darem.

Ona to czyni ze mnie stworzenie najwyższe i zarazem najniebezpieczniejsze na ziemi.

A gdy pod ciosem Twej prawicy, ona silniej rozplonie we mnie, wówczas dreszcz jakiś dziwny i jakoby trwoga wielka podnosi mi włosy na głowie.

W świetle tej iskry straszliwej widzę najlepiej całą potęgę, ale i całą nędzę własną!

Tak to narzeka i jęczy Ludzkość pod ciężarem prawicy Pańskiej, która z niej iskrę ducha stara się wykrzesać, a bezkształtnej bryle kształt bozki nadaje.

Lecz daremnie — pomimo skarg, ludzkość musi przybrać kształty, jakie jej Pan przeznaczył w swej mądrości,—wśród jęków, łez i boleści musi kroczyć coraz wyżej i wyżej.

„Excelsior! Excelsior!” — w bólu wciąż wołają ci, którzy stopy skrwawionymi wciąż pną się ku górze...

A iskra ducha coraz jaśniej świeci nad ich głowami...

I.

Myllite, branka assyryjska.

Najpierw wylaniasz się przede mną ty, Azyo, pra-matko rodzaju ludzkiego. Judea, Assyrya, Indye, których pomniki zdają się stare, jak świat i przygniatają nas swym ogromem, wszystkie te państwa i narody wychodzą z pomroki wieków wielkie i tajemnicze.

Wśród pochodu dziejowego, widzę, jak niewiasta, ta towarzysza i rodzicielka, zamienioną jest powoli w niewolnicę i w narzędzie rozkoszy jedynie. Ona, która w zaraniu plemion wszystkich stoi przy boku męża, jako równa mu pomocnica, z biegiem czasu przemienia się w jego własność. Ale poniżenie niewiasty mści się na ludach, które je wprowadziły u siebie. Stopniowo słabnie w nich siła ducha i energia do czynu,—pogrążeni w rozkoszy i używaniu, upadają i giną bez śladu. I jednocześnie na głowy niewiast zaczynają się sypać przekleństwa; niektórzy

mędrzy w piśmie uczeni odmawiają nawet kobietom duszy nieśmiertelnej. Niewiasta staje się czemś pośredniem między cackiem kosztownem, a jakąś istotą przekłątą, stworzoną przez szatana, na zgubę rodzaju męskiego,—czarą rozkoszy, którą stłuc wolno po wypiciu upajającego wina, przeklinając napój zdradziecki, który szał wlewa w ludzkie mózgi i serca.

A jednak, gdyby winne grono umiało mówić, tedyby rzekło:

— „Przecznym wyklinacie? Jam jest darem człowiekowi ku pocieszeniu, a sok gron moich jest sokiem wesela i dobrej myśli. Azali moją winą, że nadużywając go, stajecie się bestyami dzikimi?”

Ale zaiste, niewolnica mściła się za swe poniżenie, niekiedy świadomie, czasem nieświadomie, a zemsta jej bywała straszną.

Pozbawiona wolności i praw, naginana do potrzeb i zachcianek swego pana, zmuszona nawet dzieci swe oddawać na spalenie, na cześć mściwych i straszliwych bóstw, chwyciła za jedyną broń swoją—broń niewolnicy: fałsz, podstęp, oraz urok ponęt niewieścich, czyniących z silnego bohatera, niedołężnego niewolnika, usidlonego przez swe własne namiętności, pchające go częstokroć ku zgubie.

Legendy i podania pierwotne wszystkich niemal ludów opiewają nieraz tę sromotną niewolę bohaterów, tę zgubę, którą niesie w sobie miłość zmysłowa. Nie tylko myt grecki o Cyrce, zamieniającej ludzi w zwierzęta mówi o tem,—stokroć starsze podanie, bo sięgające prastarych początków assyryjsko-babilońskiego plemienia, w czasach blizkich potopu biblijnego, opowiada, jak Istar (Astarte) bogini miłości, zapalała namiętnością do bohatera Nimroda i pragnęła pojąć go za małżonka. Lecz mądry Nimrod szydersko się uśmiecha i rzecze: „Pani, ja miałbym poślubić ciebie? Fałszywa i obłudna jest korona twoja, biedne i nędzne twoje panowanie!... Po mężu pierwszym zawodziłaś żale, a ty go przecież zabiłaś zgryzotą! Pokochałaś wspaniałego orła i zabiłaś lot jego skrzydeł. Pokochałaś lwa, pełnego grozy i siły, a zabrałaś mu szpony — wszystkie siedm odrazu!... Koń silny w boju był ci ulubieńcem, bicz i wędzidło przyniosłaś mu w darze... Kochałaś króla tych krajów i prędko nasyciłaś się tą miłością, bo ledwieś jej użyła, zabiłaś go i zamieniłaś w lamparta!... Teraz mnie pragniesz miłością twą zgubić!”

Takie to wyrzuty Nimrod, wielki łowiec przed Panem, czyni Istar, bogini szału miłosnego. Ale nie wszyscy bohaterowie byli, jak on, silni i wytrwali w oporze,—późniejsi padali najczęściej ofiarą bogini Istar, i w miarę tego, jakie pierwiastki przeważały w ich naturze, stawali się: albo orłami bez lotów, którzy w „lesie wygnańcy stali, prosząc o skrzydła,” albo lwami bez szponów, lub też końmi, ujarzmionymi przez bicz i wędzidło;—czasem znów, jak to widzimy na wielu wschodnich mocarzach, pod wpływem użycia, zamieniali się w srogich tygrysów.

Prastara mądrość pierwotnych plemion zdawała sobie sprawę z tego, czem jest owa złowroga i tajemnicza potęga kosmiczna, lecz walczyć z nią nie umiała i nie chciała. Zaspawszy w łonie niewieścim iskrę ducha

warstwą popiołu, powstałego z pożaru namiętności, grzęzli dalej w zmysłowym szale, to upajając się winem rozkoszy, lub też tłukąc w rozpacz i wściekłości kosztowną czarę, zawierającą owo wino. Aryjska rasa najdłużej jeszcze zachowała w czystości pojęcie o dostojęństwie kobiety, jako matki rodu ludzkiego, darząc ją swobodą i otaczając czcią, lecz i ona wkrótce zatraciła te pojęcia, tak samo, jak plemiona semickie. W Bundeheez, księżdzie świętej, gdzie spisany jest zakon Zarathustry, podyktowany mu przez Ahuramazdę, powiedziano jest o pierwszej parze ludzi, iż stworzeni byli równi sobie, tak, iż trudno było odróżnić, które z nich było mężem, a które niewiastą,—a gdy wreszcie Ahura przemienił ich z drzewa, pod postacią którego wyrosli pierwotnie—na ludzi—cieszyło się jedno drugiem, że jest człowiekiem i żadne z nich nie było drugiemu poddane, bo Ahura do obudwu zarówno rzekł: „Ludzie jesteście, rodzicami żyjących jesteście!“

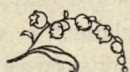
I długi czas Pers i Med patrzyli na niewiastę wedle owego zakonu, spisanego w księdze świętej,—i przez całą ową epokę byli silni, potężni, zwycięzcy,—dopiero gdy religia Zarathustry została znieprawioną i przekształconą, a niewiasta przeszła w poniżenie, wówczas wielkie państwo poczęło się chylić do upadku.

Księżyc tylko co wypłynął nad Babilonem, oświecając grube mury, mające w sobie coś potwornego, jak gdyby nie były dziełem rąk ludzkich, lecz jakichś istot na poły Bożkich. Na murach widnieją byki skrzydlate, posągi bogów o głowach zwierzęcych i zwierząt o głowach ludzkich, bohaterów i królów w wysokich tyarach, z pod których patrzą oczy wielkie i okrutne. Księżyc, owo srebrne zwierciadło bogini Istar, białem, olśniewającym swem światłem, jakiego nieznają krainy Północy, oświeca potworne owe istoty, na których maluje się moc niemal nadprzyrodzona. Zdają się one snić dziwny sen jakowys, który się przedłuża w nieskończoność, a w noc ową cichą, one jedne zaludniają, one jedne panują nad miastem uspiącem.

Noc jasna i ciepła roztaczała do koła swoje uroki. W świetle księżyca widniały mury olbrzymiego pałacu, należącego do brata króla assyryjskiego, zarządzającego Babilonem z ramienia swojego potężnego brata Assurbanipala. Zwał on się Samassumukin i był nader potężnym władcą, lecz bolało go to, iż musi pozostawać pod zwierzchnictwem Assurbanipala, gdyż marzyło mu się o niezależności zupełnej. W myślach tych podtrzymywała go jedna z żon, najbardziej ulubiona, niegdyś branka, wzięta na wojnie z Medami, wdowa po wodzu indyjskim Pharnesie, który zwyciężony, zginął w mękach. Assyryjczycy bowiem mścili się zawsze okrutnie na pokonanych nieprzyjaciółach. Mylitte była najpiękniejszą z niewiast, znajdujących się w haremie Samassumukina, a przecie był tam wybór piękności wszystkich krajów, zaczawszy od Judejki i Elamitki, a skończywszy na żółtej Egipcyanie. Pomimo to jednak ogólnie mniemano, że kobieta medyjska użyła jakichś tajemnych zaklęć i czarów w celu zniewolenia sobie serca księcia Babilonu, zwłaszcza że Medowie zawsze słynęli ze zna-

jomości czarodziejskich potęg,—inaczej bowiem nie zdołano sobie wytłómaczyć przyczyn dziwnego wpływu, jakie Mylitte nad nim posiadała. Niedawne wszak to były czasy, kiedy Samassumukin przywiódł ją, jako brankę wojenną do Babilonu, a dziś królowała wszechwładnie w jego pałacu, zajmując szereg wspaniałych komnat, obwieszonych przepyszniemi kobiercami, z wyrobu których miasto zdawna słynęło i rozkazując tłumom niewolników. Dumną była i piękną, jak sama bogini Istar; obwieszona klejnotami, odziana w kosztowne szaty, spoczywała na miękkich wezgłowiach, lecz zdawało się, że cały ten, otaczający ją przepych niczem był dla niej; wiecznie nienasycona, wciąż pragnęła czegoś nowego, a otrzymawszy rzecz pożądaną, odrzucała ją po chwili z zimnym uśmiechem, aby nazajutrz znów objawić inne żądanie. Samassumukin, pyszny i samowładny książę, wobec niej stawał się niemal niewolnikiem, taki czar dziwny wywierała nań ta niewiasta, o oku z płomienia, a jednocześnie mroząca zimnym uśmiechem, w którym było coś zagadkowego i okrutnego zarazem. Ulubioną jej zabawą było kazać sobie przynosić całe kosze najcudniejszych kwiatów i oskubywać je listek po listku, a wówczas na twarzy jej zjawiał się ten sam uśmiech okrutny. Niekiedy zabawy jej bywały mniej niewinne, za jakieś bowiem drobne przewinienie skazywała czasami niewolnika Assyryjczyka na śmierć, tak spokojnie, jak gdyby oskubywała kwiatek. Zawsze kara ta spotkała tylko niewolników pochodzenia assyryjskiego, inni mogli być spokojni o swoje życie. W chwilach podobnych widywano coś, jakby wyraz błęgiego tryumfu na jej twarzy. Zresztą zwykle odznaczała się niezamąconym spokojem, płynącym z wewnętrznego poczucia swej władzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Miliarderki.



Przed kilku laty wyszła w Nowym Jorku, nakładem wielkiej firmy księgarskiej Bancrofta oryginalna książka, zatytułowana „The Book of Wealth“—„Księga bogactwa“. Autor tej pracy, Hubert Howe Bancroft, jeden z współwłaścicieli firmy, przeznaczył „Księgę bogactwa“ dla wybrańców losu, bogaczy,—wydano ją bowiem w liczbie 400 egzemplarzy, z których 150 bardzo zbytkownych (w złotej oprawie) kosztowały 12,500 franków sztuka, a 250 średnio zbytkownych, po 5,000 franków. Księga bogactwa, to studium o naturze, źródłach i podziale dóbr materialnych tego świata; o pochodzeniu własności, jej charakterze w różnych epokach i u różnych ludów, o wpływie jej na doskonalenie się ludzkości i roli, jaką odegrała w cywilizacji.

Plan pracy tej jest, jak widzimy, nie nowy, lecz autor wykonał go sumiennie i odślonił w owej książce wiele nieznanych do-

tań lub niewyjaśnionych faktów, mających łączność z jej przedmiotem. Podobno wydanie „Księgi bogactwa“ kosztowało nakładcę 5 milionów franków, czyli, że firma Bancroft straciła na tym interesie 1,875,000 franków, jakkolwiek cały nakład został rozkupiony. Pośród nabywcami figurują prócz miliardów amerykańskich: Vanderbildtów, Astorów, Gouldów i t. d., europejscy Rottschildowie: Feliks Faure, Casimir Perier i obecny król Edward VII, wówczas jeszcze książę Walii.

Oprócz owych czterechset uprzywilejowanych, którzy nabyć mogli tak drogie wydawnictwo, jakim jest „Księga bogactwa“, istnieje jeszcze spora liczba osób, ciekawa tajemnicie zaczerpniętego świata milionów i miliardów. Dla tych ciekawych Francuz—Johanet opracował równie może zajmujące, jak „Księga bogactwa“, a dla wszystkich przystępne ze względu na cenę—studium „Autour du monde millionnaire américain.“ Z tej książki podajemy poniżej kilka sylwetek kobiecych ze świata miliardów, zaczynając od najoryginalniejszej i najwybitniejszej swą indywidualnością pani Janowej Gardner, popolicie zwanej w Bostonie mrs. Jack. Lat temu wiele, w salonach bostońskich ukazała się i od razu zwróciła powszechną uwagę młodzieńca, pani Janowa L. Gardner, z domu panna Stewart, córka milionowego nowo-yorskiego fabrykanta cukierków. Nie była ładną, ta mała rudowłosa kobietka, ale wdzięk, którym tchnęła całą jej postać, iskrzący się dowcip, żywość i wesołość porywająca, a przytem rzadka wówczas u Amerykanek umiejętność ubierania się, uczyniły ją niebawem królową wszystkich zebrań towarzyskich.

Boston jednakże nie był wówczas tem, czem jest obecnie, niepodobna było nawet przewidzieć, że to miasto zyska chlubny przydomek „Nowych Aten“, którym tak się dziś szczycą jego obywatele. Było to wielkie środowisko handlu i przemysłu, kwitnące dobrobytem materialnym i — nie po nad to; a wyższe towarzystwo bostońskie tak przesiało tysiącem przesądów kwakerskich, że tylko tak pełna odwagi, werwy i sprytu istota, jaką była młoda mistress Jack, mogła się poważnie wystąpić tam w roli reformatorki.

I wystąpiła z ogromnem powodzeniem.

Tak zrzęcznie wzięła się do dzieła, że za miast oburzyć na siebie i zgrozić natchnąć zwolenników surowej kwakerskiej enoty,—alias szarzyzny umysłowej i duchowej, pociągnęła ich za sobą, olśniła i wprzęgła do zwycięskiego rydwanu swego.

Kto wie, czy „Nowe Ateny“ nie jej głównie mają do zawdzięczenia to, że są dziś miastem najwyżej w Ameryce stojącym pod względem kultury artystycznej. W każdym razie od jej zjawienia datuje się odrodzenie towarzyskie, artystyczne i literackie Bostonu. Ona pierwsza otworzyła swe bogate salony artystom, pisarzom, bohaterom dnia. Jej to „menażerya“, jak mawiały i mówią jeszcze jej nieprzyjaćiółki, propagowała upodobania artystyczne wśród Bostończyków. Uczyniła więc mrs. Jack wiele, bardzo wiele dla sztuki i piśmiennictwa.

Zamówiwszy swój portret u nieznanego jeszcze wówczas Sargenta zapłaciła mu

25,000 franków, jak słynnemu mistrzowi, choć zasłynął on o wiele później, bo dopiero w roku 1896-ym, gdy wystawił w Salonie paryskim nieporównany portret młodzieńca, który uznano za arcydzieło malarstwa amerykańskiego. Osobistość pani Gardner natchnęła też wielu poetów i powieściopisarzy. Ona to jest bohaterką romansu „A Lee Ward” przez Marion Crawford, powieści Hamiltona Aicles „Podróże i odkrycia,” szkiców z towarzystwa bostońskiego hrabiego Zubowa, zatytułowanych „Mrs. Harry St. John” i „Philip St.-Clare.”

Te dwie ostatnie powieści stanowią podobno krytykę jej życia i to krytykę surową, lecz to, co uczyniła pani Gardner dla muzyki malarstwa i piśmiennictwa może jej nagrodzić przykrości, jakich jej nieszczędono, obmawiając słowem i piórem.

Przeciwnicy zarzucają jej przedewszystkiem, iż była pierwszą i jedyną *social leader*, przyjmującą u siebie cyganery artystyczną: muzyków, malarzy, literatów i aktorów. To jest jej grzechem głównym; otworzyła bramy starego grodu, silnego swą filistersko-kwakerską cnotą, rozczochranemu zastępowi barbarzyńców, w których ślady pobiegło młode pokolenie. Podczas tego wtargnięcia, klan Brimmerów, najczystszy typ starej bostońskiej arystokracji, przeszedł na stronę Ahtropów, reprezentujących cyganery.

Drugim jej występkiem jest, że chciała grzech swój zmazać przez pokutę pojętą po katolicku, że raz okryta suknią z grubej wełny i posypawszy głowę popiołem, kłęzała w kościele i błagała Boga o przebaczenie, a potem, po długiej seryi zabaw zamknęła się na czas jakiś w klasztorze; uspokoiwszy zaś sumienie w ten sposób, pojechała przyglądać się walce zapaśniczej bokserów.

Po raz pierwszy kobieta z towarzystwa bostońskiego była obecną podobnemu widowisku, a zgorzenie doszło do zenitu, gdy się dowiedziano, że mrs Jack dokonała osobistego zbadania (*personal examination*) mięśni słynnego szermierza Sandowa. Od tej chwili wszystkie eleganki bostońskie uważały sobie za punkt honoru czynić „*personal examination*” muskulatury bokserów, którzy zaczęli urządzać seanse dla dam!

Jednym z grzechów, których jej nie przebaczyły nigdy najserdeczniejsze nawet przyjaciółki jest to, że potrafiła skłonić braci Reszków do uświetnienia ich śpiewem swego rautu. Wielcy artyści jedynie dla niej zrobili to ustępstwo, po za tem bowiem nigdy i u nikogo nie dali się słyszeć prywatnie.

Potem zrobiła jeszcze jeden „wybryk” w tym rodzaju, a mianowicie wynajęła Bumstead-Hall i ofiarowała Paderewskiemu 1,000 dolarów za to, że uraczył tam mistrzowską grą swoją professorów szkół muzycznych i ich uczniów.

Prócz tego w salonie mrs. Jack produkowała się Carmencita, tancerka hiszpańska, za dni swej największej chwały; mrs. Jack wynajęła teatr chiński w Bostonie, aby dać swym przyjaciołom i znajomym pojęcie o sztuce dramatycznej w Państwie niebieskiem.

Z litanii pomniejszych jej win zanotować wypada, że pewnego razu ukazała się w teatrze w towarzystwie małego Murzyna, któ-

ry, jak paż średniowieczny, niósł długi tren jej sukni; innym znów razem, sama u drzwi domu swego rozdawała programy koncertu, na którym grał Clafton Johns; raz znowu wynajęła lokomotywę, wsiadła w nią i dogoniła, pędząc całą parą, towarzystwo majówkowiczów, którego w inny sposób nie mogłaby doścignąć; wreszcie owdlała Pawłem Bourget i uwięziła go na kilka tygodni w willi swojej!

Ogromnie sensacyjnym nabytkiem dla „menażery” salonowej pani Gardner był Mohini Mohan Chatteryi, inicjator i przywódca ruchu izoterycznego w Londynie. Postać tego jegomościa, jego twarz messyaniczna, długimi obramowana puklami, doskonale „przysrajała” salon mrs. Jack i stała się wkrótce arcy-modną z tego powodu. Mężczyźni szaleli za kobietami dlatego, że kobiety szalały za Mohini Mohanem, który zadawał im nierozwiązalne zagadnienia, doprowadzające do rozpaczyci ich ciekawość, a bynajmniej jej nie zaspakajające.

Chrześcijanizm, którym nie wystarczało światło Ewangelii, w mistycznych spekulacjach teozoficznych szukali wyjaśnienia zagadki bytu. Tajemniczy dreszcz okultyzmu wstrząsnął tłumami, gromadzącymi się w salonach pani Gardner i pograżonymi w mistycznych dociekaniach. Na tle tych nieudanych wzlotów w krainę nieskończoności, powstała również nieudana i mglista literatura.

Z muzyką wiodło się mistress Jack daleko lepiej, aniżeli z okultyzmem; nie mówiąc już o Paderewskim, przed którym chyliła czoło, jako przed geniuszem, i którego sławę głosiła, ona to zapoznała wielki świat bostoński ze słynnym skrzypkiem, Francuzem Henrykiem Marteau, z kwartetem Adamowskich, a wreszcie wyrobiła rozgłos i trwałe powodzenie orkiestrze symfonicznej Music-Hallu.

Dusza tej bogaczki nie rozmiłowała się w złocie, nie kłękała przed niem, wielbiąc jedynie potęgę zimnego kruszcza, lecz siły jego używała dla szlachetnych celów. Sztuka ma dla niej największą wartość w życiu, przedstawiciele świata artystycznego zawsze byli i są najmiłszymi, najpożądańszymi jej gośćmi. Sędziwemu poecie, Oliwierowi Wendell-Holmes'owi sama zawsze składała życzenia w rocznicę jego urodzin, nie zaniedbując nigdy dołączyć do życzeń jakiegoś wykwintnego upominku, zazwyczaj dzieła sztuki, spowitego w najwspanialsze złocenie, wychodowane w jej cieplarniach, bo ta miliardarka jest także wielką miłośniczką kwiatów i jedną z wytykanych jej „ekscentryczności” jest noszenie u stanika dużej wiązanki fiołków, które sama troskliwie pielęgnuje.



Romans Lucyli Desmoulins.



Lucylla Desmoulins! Z pomiędzy postaci niewieścich z epoki rewolucji, żadna nie równa się pod względem uroku i czystości z tą młodzieńką kobietą, bohaterką i męczenniczką miłości małżeńskiej. Czem był romans Ka-

mila i Lucyli podczas najcięższych lat Rewolucji, jak ta idylla przetrwawszy najgorsze niepokoje, doszła do najtragiczniejszych katastrof,—o tem dowie się czytelniczka nasza z tych kartek naprzemian wzruszających i dramatycznych. Zapożyczmy je z książki Juliusza Claretie, dawno już wyczerpanej. Sławny ten Akademik, który zbiera z równą umiejętnością, jak i zamięłowaniem, wszystkie relikwie, odnoszące się do Kamila i Lucyli, potrafił wywołać te wspomnienia ze zdolnością do poszukiwań zaciekawiających, z dokładnością w szczegółach, z darem ożywienia, które sprawiają, że historię pisaną przez niego, czyta się, jak romans najbardziej zajmujący.

Tego samego dnia, kiedy Paryż rozszalała obiega nowina o dymissji Neckera, młody adwokat przy Parlamencie, Kamil Desmoulins, zbiera tłum w ogrodzie Palais-Royal, wstępuje na stół z pistoletem w ręku, wzywa lud do broni i rzuca myśl przypięcia kokard na znak zjednoczenia.

— Czy wybieracie barwę zieloną, barwę nadziei, czy też czerwoną, barwę prawa wolności Cincinaty?

— Zieloną! zieloną! — zrywają liście z drzew, improwizują kokardy.

Scena ta, ile razy myślą do niej wracam, stanowi ramę, w której nam się ukazuje postać Kamila Desmoulins. I przedstawiamy sobie zawsze w tej postawie wojowniczej to straszne dziecko Rewolucji, herolda nowych idei, mówcę awangardy, twardego bojownika, który miał skończyć powstaniem przeciw zbrodniczemu gwałtom Terroryzmu, i paść, jako ofiara protestu, głoszonego w imię ludzkości.

W tem życiu tak burzliwym jednak, mieści się również i świeża idylla, romans miłości czystej i szlachetnej. Jest to jedna z najwdzięczniejszych kart historii obyczajów z czasów Rewolucji.

W cieniu ogrodu Luksemburskiego. Pierwsze wyznania.

W r. 1785-ym Kamil Desmoulins skończył lat 25. Zdał egzaminy wydziału prawnego i zapisał się na listę adwokatów przy Parlamencie paryskim.

Mansarda w hotelu Bretagne, przy ulicy Saint-André-des-Arts służy mu za mieszkanie. Gdy się wychyla z okna, widzi dom sąsiedni bogatego mieszczanina, M. Duplessis. W dni pogodne otwierają się podwoje starego domostwa i pani Duplessis wyjeżdża do ogrodu Luksemburskiego, wraz ze swą córką Lucyllą, trzynastoletnią dziewczką, o jasnych blond włosach. Kamil porzuca wówczas czytanie słynnych mów Cyncerona przeciw Catilinie, które stale odczytuje, robiąc z nich notaty. Instynktownie towarzyszy dwóm kobietom, spacerującym po przez Quartier Latin i lubuje się w widoku bawiącej się i biegającej w cieniu małej Lucyli, nad którą czuwała troskliwie matka.

Wkrótce jednakże pani Duplessis i jej córka przestają być obcymi dla Kamilla Desmoulins, który jako marzyciel beczynny ścigał je oczyma po zielonych alejach wielkiego ogrodu. Młodzieniec przedstawiony rodzinie Duplessis przez przyjaciela swego Fréron'a, został upoważniony do bywania w ich domu przy ulicy Saint-André-des-Arts. Pan Duplessis, syn bardzo biednego kowala wioskowego, stał się dzięki swym nieustającym wysiłkom i cierpliwej walce, pierwszym sekretarzem kontroli finansów.

Przyjął on Kamila Desmoulins w domu swoim życzliwie. Podczas lata państwo Duplessis, zwyczajem starego mieszczaństwa, spędzali niedziele w posiadłości swej w Bour-la-Reine. Kamil otrzymywał częste zaproszenia: brał udział w śniadaniach, urządzanych

na trawie, i w spacerach po przez pola, z kądem powracali znużeni i obciążeni buketami.

Podczas jednej z tych wycieczek Kamil spostrzegł nagle, że Lucylla przestała już być małym dziewczęciem. Po melancholii, jaka nim owładnęła, poznał, że jest zakochany.

Lecz czyż mógł przypuścić choćby na chwilę, możliwość ożenienia się z Lucyllą? Ona była bogata, a on biedny. Była prześliczna: raczej mała, aniżeli wysoka, pełna wdzięku. Twarz jej nawpół dziecinna, była uśmiechnięta i okolona ślicznymi blond włosami — prawdziwa dziewczyna z obrazów Greuze'a. Ktoś współczesny określiłby ją w trzech słowach: „Była to zachwycająca blondyneczka.“ On zaś był brzydki, o cerze żółtej i rysach skurczonych. Jednakże odważył się i uczynił wyznanie swej miłości.

Jakim był w tej chwili stan duszy Lucylli?

Wiemy o tem bardzo dokładnie, gdyż odnaleźliśmy jej „Dziennik młodej dziewczyny.“ Zeszyt ten, oprawny w czerwoną tekturę, był jej powiernikiem. Zapisywała w nim swoje wrażenia i przygody każdego wieczoru, gdy się już kłaść miała, w tajemnicy przed rodzicami. Jest to dusza egzaltowana, marząca i romansowa, która wypowiada się na tych kartkach w sposób gorący i niezwykle.

Lucylla wspomina o swem zamiłowaniu do samotności. Luksemburg podoba jej się tylko wtedy, gdy jest bezludny. „W niedziele spacerują tu panie i ja wtedy nie mogę już marzyć wśród ulubionych gaików. Przystają one być samotne. Uciekać będę od tej radości pełnej wrzawy.“ Martwi się swoją obojętnością i oschłością serca. Powątpiewa, by mogła kiedy zaznać miłości. „Nie Kocham. Kiedyż poznam uczucie miłości? Mówią, że wszyscy są do niej stworzeni! Czyż ja pokocham, gdy będę miała lat osiemdziesiąt? Jestem z marmuru. Ach! co to za dziwna rzecz życie!“

Wielka miłość w ośmnastoletnim sercu.

Opór ojca.

Tak więc serce młodej dziewczyny gotowem było do przyjęcia wielkiej miłości. Wybuchła ona pod wpływem jednego słowa Kamila. „Nie śmiem sama przed sobą wyznać, co czuję dla ciebie“ — pisała Lucylla, — „usiłuję to ukryć. Mówisz, że cierpisz. Och! ja więcej jeszcze cierpię! Obraz twój jest ciągle w myśli mojej obecny — nie opuszcza mnie nigdy; chcę znaleźć w tobie wady, szukam i Kocham je. Powiedz mi, po co te wszystkie walki? czemu miło mi jest robić z tego tajemnicę, nawet przed matką moją? Pragnę, by o uczuciu mojem wiedziała, by prawdę odgadła, lecz nie chciałabym jej tego powiedzieć.“

Pani Duplessis stała się jednak wkrótce powiernicą zakochanych. Lecz mąż jej, umysł praktyczny i przywiązany do majątku, jak każdy człowiek, który wie, z jakim trudem się go zdobywa, powiadomiony — odmawia wręcz swego pozwolenia. Nie chce mieć za zięcia dziennikarza bez majątku.

Opór jego trwał przez całe trzy długie lata! Przez ciąg tych trzech lat powstrzymywanej a wzmagającej się miłości, młodzi ludzie kochali się w tajemnicy, przez pół tylko rozdeleni, gdyż dobra pani Duplessis ułatwiała im widywanie się. Były to spotkania pod wielkimi drzewami Luksemburga, słowa rzucane w pośpiechu; pocałunki i spojrzenia zamieniane dorywczo.

Rodzice Lucylli mieszkali wówczas przy ulicy Kondeusza, a Kamil na rogu ul. Théâtre Français (dziś Odeon). Ze starego balkonu żelaznego młoda dziewczyna przesyłała pocałunki ukochanemu, a Kamil przyglądał się jej z rozkoszą z okien swego mieszkania.

Wreszcie p. Duplessis dał się zmieknąć. Było to 11-go Grudnia 1790-go roku. Kamil w liście do swojego ojca opisuje taką scenę

rozczulającą: „Rodzice oddają mi wreszcie tę zachwycającą Lucyllę, o której ci ojczcie, tyle już mówiłem — i ona mnie nie odpycha! Przed chwilą matka powiadomiła mnie o tem, płacząc z radości... w chwilę później zaprowadziła mnie do jej pokoju; rzuciłem się do nóg Lucylli, a posłyszawszy jej śmiech, zdziwiony podniosłem wzrok; oczy jej nie były w lepszym stanie od moich... była zalana łzami, płakała nawet, a jednocześnie śmiała się. Nigdy nie widziałem nic równie zachwycającego!“

Ślub odbył się dnia 29-go Grudnia 1790-go roku w kościele św. Sulpicyusza. Kamil był w kamizelce białej, haftowanej w kwiaty, Lucylla zaś pod welonem miała stanik z różowego atłasu z małymi baskinami i obcisłymi rękawami. Świadkami byli: Mercier, autor „Obrazu Paryża“, Petion, Brissot i Robespierre, wszyscy trzej deputowani Zgromadzenia Narodowego.

Ksiądz Berardier, przełożony szkoły Ludwika Wielkiego, gdzie Kamil pobierał nauki, miał wzruszającą przemowę do młodych małżonków. Oczy Kamila były łez pełne. „Płacz-że“ — odzywa się Robespierre — „skoro masz chęć po temu.“ Podczas ceremonii Mercier i Robespierre trzymają zaslony nad głowami Kamila i Lucylli. Po błogosławieństwie udają się do zakrystyi, podpisać akty. Wikaryusz Guendeville doznaje silnego niepokoju na widok podpisów w księdze probostwa. Nazwiska: Desmoulins, Petion, Brissot, Robespierre, sięją już wówczas postrach.

Następnie ulicą Kondeusza powracają ku placowi Théâtre-Français i udają się do mieszkania Kamila, gdzie się miała odbywać uczta weselna.

M. K.

(Dokończenie nastąpi).



Z listów do „Bluszczu.“



Z nad Styru, 23-go Lipca.

Od kilku tygodni mamy wspaniałą pogodę. Niebo bez chmurki i wszystko dokoła skąpane w powodzi słonecznych blasków, ale z upragnieniem wyglądamy już ożywczego deszczu, któryby zasilił wyschlą ziemię i odświeżył trochę powietrze, bo upał srodcie daje się odczuwać, szczególnie tym mieszkańcom naszego miasteczka, którzy nie mają przy domu ogrodu i siedzieć muszą po całych dniach w małych, dusznych pokojkach, ponieważ Łuck nie posiada wcale ogrodu spacerowego. Zapowiedziany od tak dawna park, który mają zakładać, dotąd jest tylko miłą obietnicą.

Gród nasz niegdyś sławny i najobszerniejszy w gub. Wołyńskiej, następnie zniszczony pożarami w 1800 i 1803 r., w ostatnich latach podniósł się bardzo. Pisałam kiedyś dawniej, że mamy sześćio-klassowe męskie progimnazjum, powstałe z zapisu ś. p. Lernet'a, mieszczące się w gmachu po-Bernardyńskim, teraz przybyło nam i żeńskie gimnazjum, i te dwa zakłady naukowe stały się prawdziwem dobrodziejstwem dla okolicznej, łaknącej światła i nauki młodzieży, dla której kształcenie się, w większym mieście w dzisiejszych ciężkich czasach było niedościgłym marzeniem, tu zaś stosunkowo niewielkim kosztem na przyzwoitej „stancy“ chłopaka, lub dziewczynkę utrzymać można.

Powstałe parę lat temu towarzystwa: kredytowe i rolnicze świetnie się rozwijają, a pożyteczna działalność tych instytucji dodatnio wpływa nie tylko na rozwój ekonomiczny okolicy i na interesy panów rolników, którzy chociaż w części uniknąć mogą, zgubnej

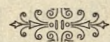
lichwy, ale i na ruch towarzyski nie mało wpływają zjazdy obywatelskie z pięciu powiatów, odbywające się co pewien przeciąg czasu na obrady, dotyczące się interesów wyżej wspomnianych towarzystw.

Wśród stałych mieszkańców Łucka tętno życia społecznego niestety bardzo słabiuchne, ale nie może być inaczej, gdzie małostkowe cele, drobiazgowo zajęcia, nie podniesione żadną wyższą aspiracją, nie pogłębione poważniejszą ideą, są tylko na porządku dziennym, a każda lepsza inicjatywa z góry bywa odrzucana z ostrym pełnym sarkazmu krytycyzmem. Cóż więc dziwnego, że każdy zasklepia się w sobie i towarzyskie węzły rozluźniają się coraz bardziej, tworząc kółka i kółeczka, a to psuje ogólną harmonię i... sprowadza nudę. Trochę dobrych chęci, mniej jednostronności, a więcej miłości bliźniego, tej duchownej potęgi, udoskonalającej stosunki ludzkie nadającej im blask i ciepło, a jak miłoby można urządzić życie na naszym partykularzu, gdzie intelligentnych osób taka spora gromadka!

Ruch budowlany w pełnym rozwoju; stare, walące się domy zastąpiono nowymi kamienicami, pobudowanymi z uwzględnieniem wszelkich nowoczesnych wymagań, a co godniejsze jeszcze uwagi to to, że przyszłowiowe nasze błoto i kurz, wkrótce należeć już będą tylko do niemiłych tradycji, gdyż wszystkie ulice, nawet boczne brukuja obecnie, a chodniki robią betonowe. Małuczko, a Łuck dorówna pod wielu względami większym miastom, czego wymownym dowodem urządzane w kilku mieszkaniach telefony, a o oświeceniu miasta elektrycznością myślą na serio.

Wspaniała nasza katedra, zbudowana w stylu Odrodzenia, mieszcząca obrazy Smuglewicza i wiele innych pięknych zabytków sztuki, utrzymana we wzorowym porządku dzięki staraniom miejscowego kanonika; niedługo ma być ozdobiona polichromią, a wtedy stanie się niezaprzeczenie najpiękniejszą świątynią Pańską w gub. Wołyńskiej, do której od tyłu już wieków ściągają tłumy pobożnych pielgrzymów.

L. i.



Kronika działalności kobiecej.



— Heidelberg. W bieżącym kwartale 69 kobiet zapisało się jako słuchaczki i studentki do Heidelbergskiego uniwersytetu, — 33 jako wolne słuchaczki, 36 — jako rzeczywiste studentki, z tych 17 na wydział filozoficzny, 19 na przyrodniczo-matematyczny. W roku zeszłym, w tym samym kwartale, uniwersytet Heidelbergski liczył ogółem słuchaczek 33.

— Lipsk. Państwowy egzamin na wydziale medycznym przy uniwersytecie Lipskim świetnie złożyła panna Ida Małgorzata Wachsmuth, córka nieżyjącego dyrektora banku Niemieckiego Kredytu.

— Berlin. Znane berlińskie stowarzyszenie „Letteverein“, ogłosiło sprawozdanie z czynności swych i rozwoju za rok ubiegły. W roku bieżącym zarząd stowarzyszenia przeniósł się do nowego, własnego domu na placu Victoria-Luize-Platz. Szkoły i pensjonaty, należące do stowarzyszenia są wypełnione. Stan majątkowy bardzo pomyślny. Obydwa domy, stary i nowy przyniosły zysku czystego 16,654 m. — Szkoły zapełniły się nadspodziewanie szybko, tak że dziś daje się już uczuć brak miejsca, czemu jednak wkrótce zaradzone zostanie. W przyszłości stowarzyszenie będzie mogło rozszerzyć szko-

ły w domu swym przy ulicy Bayreuth.—Ma-
jątek wybornie prowadzonej instytucji prze-
wyższał z końcem roku ubiegłego pół milio-
na marek.—Dochody ze szkół wynosiły 76,000
m., legaty—30,000, odczyty—2,000, subwen-
cje—6,100 (w tem 2,000 magistratu miasta
Berlina i ministerium oświaty—3,000).—
W szkole handlowej było kursów pełnych—
291,—w szkole rzemiosł—2,526,—w szkole fo-
tograficznej—151,—w introligatorni—16,—
kursów biurowych—38.

Szkoła kucharstwa, pralnia, hafciarnia, ko-
ronczarnia i t. p. kursa są przepełnione.

— Stany Zjednoczone. Liczba ucza-
cych się kobiet na kursach wyższych zakła-
dów naukowych wynosi obecnie 15,000. Z tych
na studentki uniwersytetów przypada 485.—
Princeton jest jedynym miastem, którego uni-
wersytet jest dotychczas dla kobiet zamknię-
ty. Przeszło 22,000 amerykańskich dziewcząt
uczęszcza do szkół rękodzielniczych.

— Urzędową stenografką w sądzie w No-
wym Yorku, została szesnastoletnia miss Gra-
ce Day z Versailles (stan Indiana.) Do pię-
tnastego roku życia uczęszczała jeszcze do
normalnej szkoły. Wiadomości prawnicze
zdobyła przez to, iż ojeu swemu dopomagała
pilnie w przepisywaniu jego adwokackich pa-
piérów. Jej niezwykle zdolności do steno-
grafii poczęły zwracać na nią coraz szerszą
uwagę, aż wreszcie obdarzyły ją poważnem
stanowiskiem i otworzyły przed nią pole pra-
cy, sprawowanej dotychczas jedynie przez
mężczyzn.

Z. S.

Nasz ul.



— Dnia 15-go b. m. wyszedł pierwszy zeszyt nowo po-
wstałego miesicznika p. t. „Chorał.“ Redaktorem i wy-
dawcą nowego pisma jest ks. Julian Paczowski. Zeszyt
pierwszy obejmuje następujące prace: „Perosi,“ przez Że-
lisława; „Melodykon,“ przez Piano; Dział pytań i odpo-
owiedzi: „Jaka jest historia muzyki arabskiej,“ „Jak sta-
rożytni zapatrywali się na akustykę?“, „Jaka jest muzyka
religijna w Anglii?“, „Czy prawdą jest, że misjonarze za-
niedbują muzyki i śpiewu religijnego u dzikich.“ Załączony
dodatek nutowy podaje pieśń Palestriny: „Jesus Rex
Admirabilis.“

Nowe pismo ukazywać się będzie w połowie każdego
miesiąca.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności zwraca
się z odezwą do emerytów i kapitalistów warszawskich,
którzy mając wiele wolnego czasu, zechcieliby go poświęcić
bezinteresownie na cele społeczne.

Wszyscy ci, którzy pod wpływem poczucia obowiązku
obywatelskiego zechcieliby przyjść z pomocą i przystąpić
do współdziałania, zechcą składać swe oferty w kancelaryi
Towarzystwa, Krakowskie-Przedmieście № 62.

— Dnia 16-go b. m. rozstrzygnięto konkurs na budowę
pomnika dla b. prezydenta miasta, generała S. Starynk-
wicza. Komitet wyróżnił projekt i powierzył budowę po-
mnika znanemu artyście-rzeźbiarzowi, Janowi Woydydze.

— Konkurs na projekt budowy gmachu dla zakładów
gazowych w Warszawie, został rozstrzygnięty dnia 25-go
b. m.

Ogółem nadesłano 21 projektów. Nagrodę pierwszą,
w summie rubli 1,200 przyznano projektowi pp. Teofila
Wiśniowskiego i Teofila Łagiewskiego, pod godłem C₁₀H₈.

Dwie drugie nagrody po rubli 700, ze względu na roz-
kład—p. D. Lande z Łodzi, pod godłem „Promień,“ i ze
względem na elewację frontową, projektowi, opatrzonemu
godłem „Avanti,“ pp. Wiktora Filipczyńskiego i Bronisła-
wa Edwarda Paprockiego.

Dwie trzecie nagrody po rubli 500, ze względu na ele-
wację, przyznano za projekt pp. K. Pieszczyńskiego i J.
Mozalfa (godło „Sezam,“), jak również odznaczono projekt
z godłem „Tuśka“ pp. Józefa Moszczyńskiego i Stefana
Krashorskiego z Petersburga.

Następujące projekty zaszczycono uznaniem i pochwałą:
1) pod godłem „Fiat lux“ (czarnymi literami) pp. S. Fi-

lipkowskiego i J. Fijałkowskiego, z godłem „Gwiazda
w kole“ p. Stanisława Trębińskiego, z godłem „Helios“ p.
Jana Nolla z Łodzi i pod godłem „C. A. Dow.“ p. Zeno-
na Chrzanowskiego.

W skład sędziów konkursowych weszli budowniczowie,
pp.: Br. Żochowski, Konst. Wojciechowski i K. Loewe.

Wszystkie projekty wystawiono na widok publiczny
w jednej z sal posiedzeń Towarzystwa popierania ruskiego
przemysłu i handlu, Krakowskie-Przedmieście № 66, do
dnia 6-go Sierpnia włącznie. Wejście bezpłatne.

— Dnia 19-go b. m. w Pilicy, w gub. Kieleckiej, za-
wartym został związek małżeński p. Mściława Godlew-
skiego, b. redaktora gazety „Słowo,“ znanego publicysty,
radcy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, z panną Izą
hr. Miączyńską, córką ś. p. Władysława i Felicy z Wie-
lowiejskich.

— Powieść historyczną T. J.-Choińskiego, znanego i ce-
nionego literata, p. t.: „Gasnące słońce,“ spotkało niezwy-
kle odznaczenie, bowiem austriackie ministerium oświaty
zaleciło ją oddzielnym reskryptem z dnia 3-go Września
1903-go roku do użytku wszystkim gimnazjom męskim
i żeńskim w całej Austrii, tudzież bibliotekom miejsco-
wym.

— Z okazji 50-letniego jubileuszu ogłoszenia dogmatu
o Niepokalanem Poczęciu N. Maryi Panny, projektowa-
nem jest we Lwowie wydanie albumu pamiątkowego, za-
wierającego reprodukcje najslawniejszych obrazów Matki
Bożej cudami słynących w polskich świątyniach. Obec-
nie ogłoszono konkurs na tytułową winietę. Nagroda za
najlepszą z prac wynosi 180 koron.

Projekty nadsyłać należy do komitetu urządzającego
obchód jubileuszowy, pod adresem: Bank krajowy we Lwo-
wie, na ręce p. Marceliego Gajewskiego.

Termin nadsyłania projektów opatrzonych godłami, u-
pływa z dniem 30-ym b. m.

Album nosić będzie wezwanie: „Matko Niebieskiego Pa-
na, ślicznaś i Niepokalana.“ Rysunek powinien być za-
stosowany do wezwania.

— Dnia 21-go b. m. odbyła się w Uniwersytecie lwow-
skim promocya znanego poety, Jana Kasprowicza na do-
ktora filozofii. Prawdopodobnie w najbliższej przyszłości
Kasprowicz obejmie katedrę literatur porównawczych na
teżże wszechnicy.

— W Żywiecu arcyksiążę Karol Stefan, właściciel dóbr
żywieckich, wznosił na zamku tablicę pamiątkową. w celu
uczczenia pamięci Jana Kazimierza, który po ustąpieniu
z tronu, przebywał w Żywiecu od dnia 23-go Maja do dnia
5-go Lipca 1669-go roku, poczem opuścił kraj na zawsze.
Stosowny napis ułożył sam arcyksiążę Karol Stefan. Kom-
pozycyi artystycznej pomnika dokonał budowniczy kra-
kowski. ś. p. Knaus. Tablicę z szarego marmuru wyko-
nano w jednej z pracowni rzeźbiarsko-kamieniarskich
w Krakowie.

— W Genewie utworzyło się Towarzystwo imienia Ja-
na Jakóba Rousseau, w celu uczczenia prac i działalności
niepospolitego pisarza i filozofa. Towarzystwo zajmie się
wydawnictwem jego pamiętników, korespondencji, stur-
dyów historycznych i krytycznych, prac nieogłoszonych
w druku, nadto ułożeniem katalogu, obejmującego wszyst-
ko, cokolwiek ma związek z osobą J. J. Rousseau.

Towarzystwo rozesłało odezwę do wszystkich wielbicieli

talentu wielkiego pisarza, w celu powołania ich na człon-
ków.

— Gabryel d'Annunzio obchodzi w roku bieżącym 25-
lecie swej działalności pisarskiej. Początkowe jego utwory
przebrzmiały bez wrażenia, dopiero późniejsze dramaty
rozślawiły imię jego po świecie.

— Dnia 22-go b. m. odbyła się w Paryżu w ogrodzie
Luksemburskim uroczystość odsłonięcia pomnika Georges
Sand. Pomnik jest dziełem artysty-rzeźbiarza Picarda.
Wyobraża postać Aurory z lat młodocianych, w postawie
siedzącej, zapatrzonej w dal, w pozie naturalnej i wdzięcz-
nej. Po odsłonięciu pomnika i złożeniu wieńców i kwia-
tów przemawiali: Henryk Marcel, dyrektor Towarzystwa
Sztuk Pięknych, znany pisarz i autor Marceli Prévost,
oraz artyści sceny paryskiej: pani Worms-Baretto, pani
Severine i p. Fenoux. Obchód ten zakończył szereg u-
roczystości jubileuszowych, urządzonych na cześć francuz-
kiej powieściopisarki.

— Dnia 22-go zmarł w dobrach swoich Trojany, w gub.
Kowieńskiej ś. p. Karol Michał książę Radziwiłł, z linii
Szydłowieckiej, spowinowacony z licznymi rodami arysto-
kratycznymi. Żył lat 56.

— W Krakowie dnia 18-go b. m. zmarł ś. p. Jan Wdo-
wiszewski, architekt, twórca i dyrektor miejscowego Mu-
zeum techniczno-przemysłowego.

— Dnia 22-go b. m. zmarł w Ceranowie, w gub. Sie-
dleckiej, Franciszek Górski, znany w szerokich kołach zie-
miaństwa, jako uczony i zdolny agronom, a przytem dzia-
łacz na polu ekonomicznym i społecznym. Zmarły był
prezesem Towarzystwa Rolniczego w Siedlcach, i zajmował
stanowisko b. Rady w Towarzystwie Kredytowym
Ziemskim. Żył lat 45.

— Złożono w Administracyi naszego pisma
dla Biura nędzy wyjątkowej:

Aleksandra Antuszeuicz z Orenburga k. 50.

Treść numeru:

Polki we współczesnej literaturze i sztuce: Zofia Mellero-
wa, przez Mileśa (z portretem).— Jad, powieść, przez Ma-
ryana Gawalewicza (ciąg dalszy).— Odpowiedź (wiersz),
przez Adele Koneczną.— Wychowawczy wpływ dziecka
na wychowawców, przez Zofię Seidlerową (dokończenie).—
O szczęście dziecka, przez Jadwigę z Z. Strokową (ciąg
dalszy).— Kobieta w twórczości Rafaela, przez Stanisława
Schneidra.— Obrazy z przeszłości niewiast, przez Maryę
Łopuszańską.— Miliarderki.— Romans Lucylli Desmou-
lins, przez M. K.— Z listów do „Bluszczu“ z nad Sty-
ru, przez I. i.—Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.—
Nasz ul.— Ofiary.— Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 9-ty „Wra-
żeń z Dalekiego Wschodu“ Piotra Loti'ego, w przekładzie
Wili Zyndram-Kościakowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 28). — Przepisy
kuchenne.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszc“

KSIAŻKA ZBIOROWA p. t.

„KOBIETA WSPÓŁCZESNA“

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego
formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracyi „Bluszc“.

Prenumeratorki „BLUSZCZU“ płać za powyższe dzieło
tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcyi Damskiej

L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuskie.  Najlepszy krój koszul męskich. 

ANNA JASIEŃSKA

przełożona VI-cio klasowego Zakładu naukowego z pensjonatem i klasą przygotowawczą

ulica Hr. Berga Nr. 8.

ma zaszczyt zawiadomić Szanownych Rodziców i Opiekunów kształcącej się młodzieży, że zapis na rok 1904—5 rozpocznie się 22 sierpnia. Egzamin 1, 2 i 3 Września. Kurs nauk 5 Września. Metryka i świadectwo szczepienia ospy wymagane.

Pismo poranne, codziennie wychodzące, nie wyłączając niedzieli

GAZETA WARSZAWSKA

z tygodniowym dodatkiem bezpłatnym p. t.

Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy

podająca od czasu do czasu ilustracje z chwili bieżącej ogłasza,

co następuje:

Wobec ważnych wypadków politycznych, dla dogodności naszych czytelników tak w Warszawie, jakoteż i zamieszkających na prowincyi, odstepujemy od przyjętego zwyczaju liczenia kwartałów: od 1-go stycznia, od 1-go kwietnia, od 1-go lipca i od 1-go października, i przyjmować będziemy prenumeratę od każdego pierwszego dnia miesiąca.

Prenumerata więc może być opłacana kwartalnie, półrocznie i rocznie w stosunku miesięcznym po 75 kop. w Warszawie i 1 rubla na prowincyi.

Nadmieniamy, iż „GAZETA WARSZAWSKA” opuszcza prasę drukarską o godz. 6-ej zrana, zamieszcza więc prócz telegramów w ciągu dnia przychodzących i telegramy nadsyłane na stację warszawską między godziną 6-tą z wieczora (t. j. już po wyjściu pism popołudniowych) a 5-tą zrana, a jako wyprawiana z Warszawy pociągami rannymi, z większych pism warszawskich przychodzi na prowincję najwcześniej.

Kuryer Codzienny

pismo społeczno literacko polityczne.

Wychodzi przez czas wojny dwa razy dziennie.

Drukuje znakomite studium

Bolesława Prusa

Japonia i Japończycy,

oraz bardzo interesującą powieść

Michała Muttermilcha

ŻYDZI.

Jako premium bezpłatnie drukuje rozgłosną powieść T. T. Jeża

USKOKI.

Cena prenumeraty:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie	rub. 6.—	Rocznie	rub. 9.—
Półrocznie	„ 3.—	Półrocznie	„ 4.50
Miesięcznie	„ —.50	Miesięcznie	„ —.75

Dotąd wyszły nakładem „Kuryera Codziennego” i są do nabycia następujące utwory:

Pisma Z. Krasieńskiego: cztery tomy w oprawie rb. 1.80. Wincentego Pola: „Mohort”. „Pamiętniki imci pana Winnickiego” oba utwory w oprawie k. 80. „Pachole hetmańskie” w opr. k. 80. „Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego” w opr. rb. 1. F. Norrisa: „Octopus” 2 tomy w opr. rb. 1.20 k. P. Adamsa: „Syn wojaka z pod Austerlitz” w opr. k. 60. J. I. Kraszewskiego: „Dyabel” 2 tomy w opr. 1.60. „Morituri” 2 tomy w opr. 1.50. „Ostatnie chwile Księcia Wojewody” (Panie Kochanku) w opr. k. 60. D’Anunzio: „Ogień” 2 tomy 1.20. D’Aigremonta: „Mateczka” 2 tomy 1.20. Hall Caina: „Wieczne miasto” 2 tomy 1.60. K. W. Woycieckiego: „Kurpie” w opr. k. 60 tegoż „Dworek i pałac” w opr. k. 60. „Wybór powieści nieboszczyka Pantofla” w opr. k. 80. M. Mochnacki: „O literaturze polskiej w wieku XIX w opr. 1.

Wydawca: Piotr Laskauer.— Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Июля 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41

Najtańsze

bo najhygieniczniejsze

Naczynia z czystego niklu, fabryki A. Kruppa w Berndorfie (Austria)

z ustępstwem od cen fabrycznych, poleca,

Skład naczyń kuchennych

Edwarda Dusoge

w Warszawie,

Nowy-Świat № 5.

Cenniki gratis.

Telefon № 2515.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

ANTONINY PIASECKIEJ

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony sprowadza cudzoziemki

Warszawa, Krak.-Przed. 38.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

GRETILLAT

Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

Księgarnia J. Fiszer, Nowy-Świat 9 w Warszawie—zaleca dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo przedkij i najłatwiejszej nauki Języków Obcych, bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

SAMOUCEK:
Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.
Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.
Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.
Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.
Wypisy Francuskie kop. 80.
Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.
Amerykański Przewodnik kop. 50 i 5.
Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—kurs II-gi kop. 1.80.

Niespodzianka dla Pań!



Nowo-wynaleziona maszyna „HAFTOGRAF” do artystycznego wyszywania, XX wiek tak bogaty w rozmaite wynalazki, i dla pań przyniósł iście piękną nowinkę „Haftograf”, za pomocą którego każda z pań, bez poprzedniego przygotowania i żadnego trudu może wyszywać na serwetach, dywanach, portjerach, poduszkach i t. p. rozmaite desenie. Robota bardzo przyjemna, nieszkodliwa dla wzroku, nie męczy organizmu. Za pomocą „Haftografu” można wyszyć w godzinę więcej niż ręką przez cały dzień. „Haftograf” zagra nicą tak jest rozpowszechniony, że prawie niema domu, gdzie by go nie używano. Stanowi to bardzo przyjemną rozrywkę.

Cena z przesyłką rub. 4. kop. 85, za zaliczeniem 10 kop. drożej. Ilustrowany sposób użycia dołącza się bezpłatnie. Piękne desenie w rozmaitych kolorach do haftu poduszek po 20, 25, 30 i 40 kop. sztuka, do haftu dywanów 40 kop. Prosimy się przekonać. Nie dla zarooku, lecz dla próby wartości „Haftografu” wysyłamy fantazyjny deseń w cenie 3 rb. na prześliczną poduszkę wyhaftowaną na dobrem kolorowym suknie.

Prosimy o odwołanie się na niniejsze pismo.

J. FRANCUZ, Królewska Nr. 49 P. w Warszawie.

Najlepszy Przyjaciel Żołądka

VIN

Saint-Raphaël

poleca się jako:

toniczne, wzmacniające i pomagające trawieniu.

Broszura D-ra de BARRE o winie St.-Raphaël, jako o pożywnym, wzmacniającym środku Wysła się na żądanie.



SMAK JEGO WYŚMIENITY.

Compagnie du vin St.-Raphaël Valence, Drome, France.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

Szkoła artystyczna dla Kobiet

„A. CONTI”

przeniesiona na ul. Wielką № 23, róg Wspólnej.

Rysunki i Malarstwo. Rzeźba. Sztuka stosowana. Rys. techniczne. Kurs dla dzieci. Kursy rysunków wieczornych i niedzielnych. Zajęcia od g. 10—2 i od 5—7. Kierownicy artyści: A. Austen, M. Gerson-Dąbrowska, K. Jankowski, A. Jasiński, L. Lempicka, B. Maruszewski, M. Trzebiński i Wł. de Turquier. Zapisy od 25 Sierpnia. Początek zajęć od 15 Września. Wszelkie wyjaśnienia i programy wysyła się na żądanie.

Kancelarya Tow. Pszczelniczo-Ogrodniczego (Warszawa, Wiejska 12)

przyjmuje zapisy kandydatów i kandydatek na

KURSY 2-LETNIE PSZCZELNICZO-OGRODNICZE

Rozpoczynają się, jak corocznie, d. 1 Października. Wolni słuchacze i wolne słuchaczki mogą wstępować tylko na rok jeden.

ZAKŁAD

GIMNASTYKI SZWEDZKIEJ

Heleny Kuczalskiej do 20 Września w Ciechocinku, Zachęta druga.